

GRZEGORZ TORZECKI

IRIAN JAYA

wojowników

raj utracony



Copyright © by Grzegorz Torzecki 2001





IRIAN JAYA

wojowników
raj utracony



Indonezyjski
billboard
propagandowy;
napis głosi:
„Wojownicy
chronią naród”.

IRIAN JAYA

wojowników
raj utracony

Tekst i zdjęcia
Grzegorz Torzecki



ŚWIAT KSIĄŻKI

Grupa Wydawnicza Bertelsmann Media

Redakcja tekstu Katarzyna Leżeńska

Redaktor prowadzący Elżbieta Gomulińska

Opracowanie graficzne Cecylia Staniszevska i Ewa Łukasik

Skanowanie i opracowanie zdjęć Protea TAFF, Warszawa

Świat Książki, Warszawa 2001

ISBN 83-7227-712-5

Nr 2845

Copyright © by Grzegorz Torzecki 2001

Sponsorzy:



Promocja Plakatu OUTDOOR



Królewskie Holenderskie Linie Lotnicze KLM

Dziękuję Panu Prezesowi Leszkowi Kaczoniowi z firmy OUTDOOR,
przedstawicielstwu Królewskich Holenderskich Linii Lotniczych KLM w Warszawie,
Panu Witoldowi Nowakowi (realizacja fotogramów) oraz moim rozmówcom
i przewodnikom w Irian Jaya, a przede wszystkim: księdzu Fransowi Lieshout,
księdzu Johnowi oraz Khasowi Towongga, Ebanusowi Wenda, Olfiedowi Koloay,
Naftali Baikole'owi (MAF) i Carelowi.

Grzegorz Torzecki

Pamięci mojej Mamy



WSTĘP

Niedaleko od Australii leży wyspa przypominająca swoim kształtem prehistorycznego smoka. Jest to Nowa Gwinea, druga po Grenlandii największa wyspa świata. Jej wschodnią część zajmuje niezależne państwo – Papua Nowa Gwinea. Część zachodnia – Irian Jaya – od XVII wieku będąca kolonią holenderską, została w 1963 roku zaanektowana przez Indonezję i następnie na podstawie fikcyjnego referendum, w którym uczestniczyło 1000 zdeorientowanych i zastraszonych tubylców – Papuasów, oficjalnie przyłączona do tego państwa.

Tropikalna dżungla pokrywa 75% dzisiejszej prowincji Irian Jaya, której powierzchnia wynosi ok. 422 tys. km². Mniej więcej przez środek tej krainy przebiega obszar wyżyn z najwyższym szczytem Puncak Jaya (4884 m; początkowo mylnie oznaczano na mapach jego wysokość jako równą 5029 m) oraz kilkoma innymi, których wysokość przekracza 4700 metrów. Gdyby nie krokodyły, jadowite węże i komary przenoszące najcięższy rodzaj malarii – *Plasmodium falciparum* – ziemię tę można by uznać za raj.

Pośród niedostępnych zakątków dżungli i w zamkniętych górach dolinach żyje około 2 mln Papuasów, mówiących, jak się szacuje, około 250 językami. Jeszcze do niedawna członkowie wielu plemion papuaskich uważali, że są jedynymi ludźmi na Ziemi i nie mieli pojęcia o istnieniu swoich sąsiadów. Zdarzają się również wypadki, że z gór schodzą ludzie mówiący nieznanym językiem, przyglądają się miejscu „dotkniętemu” cywilizacją i znowu znikają w górach, by się już więcej nie pojawić. Nadal odkrywano nowe plemiona. Niedawno, bo w roku 1994, odkryto plemiona Kiri-Kiri oraz Fayu.

Irian Jaya jest jednym z ostatnich miejsc na Ziemi, gdzie można jeszcze spotkać ludzi, których życie wydaje się być bliższe naszym wyobrażeniom o czasach prehistorycznych, niż jakkolwiek pojętej cywilizacji. Tak naprawdę nikt nie wie, co dzieje się w oddalonych zakątkach wyspy. Nie istnieją nawet



Irian Jaya
z okien samolotu.
Wyżyny i góry
osiągające wysokość
do 5000 metrów
zajmują środek
tej krainy.
Resztę, czyli 75%
obszaru pokrywa
podmokła dżungla.





Tradycyjna zagroda papuaska składa się z domu mężczyzn, domu kobiet, kuchni, chaty dla świń i małego poletka (tak jest najczęściej u plemienia Dani). Chaty innych plemion mogą różnić się kształtem dachu, ale zawsze zachowany jest podobny układ.



opisy topograficzne niektórych obszarów. Ta wręcz neolityczna enklawa przetrwała nie tylko dzięki odległości, dzielącej wyspę od reszty świata, i nieprzyjaznej przyrodzie, ale również ze względu na złą sławę jej mieszkańców, opisywanych zawsze jako okrutni wojownicy, łowcy głów i ludożercy.

Nie powiodły się w XVIII wieku dwie pierwsze próby założenia kolonii na wybrzeżu wyspy. O stopniu trudności, na jakie napotykali pierwsi badacze tych ziem, mogą świadczyć nazwy nadane dwóm rzekom w 1902 r. przez Holendrów: Moordenaar – Morderca i Doodslager – Rzeźnik. Więcej szczęścia miały wyprawy naukowe – zarówno na wybrzeżach, jak i w głąb lądu – organizowane na początku XX wieku. W 1938 r. została odkryta dolina rzeki Baliem – Wielka Dolina (60x15 km). Zamieszkując ją plemię Dani, liczące wówczas około 50 000 ludzi, po raz pierwszy zobaczyło nie tylko białego człowieka, ale i żelazne narzędzia.

Druga wojna światowa przerwała proces odkrywania i cywilizowania Irian Jaya. Dopiero katastrofa amerykańskiego samolotu nad Wielką Doliną w 1945 r. i okoliczności uratowania z niej trzech osób, zwróciły ponownie uwagę świata na to miejsce i jego mieszkańców. Prawdziwy najazd współczesnej cywilizacji nastąpił w latach pięćdziesiątych wraz z nasileniem działań misji chrześcijańskich, ale dopiero odkrycie olbrzymich złóż złota, miedzi i gazu ziemnego zmieniło całkowicie sytuację prowincji, stawiając niektóre plemiona nawet wobec perspektywy eksterminacji.

Wiek XX przyniósł więc Papuasom rzeczywistość, w której nie jest im łatwo się odnaleźć. Rząd indonezyjski rości sobie prawa do Irian Jaya, koncerny górnicze i naftowe zdobywają ją za pomocą helikopterów i artykułów przemysłowych. Chrześcijańscy misjonarze, walczący o papuaskie dusze, w wielu wypadkach potraktowali tradycyjną kulturę Papuasów jako dzieło szatana. Wojny rytualne, nadające sens życiu plemiennemu, zostały surowo zakazane. Stare wierzenia i wartości z nimi związane są eliminowane, ośmieszane i obrzydzane.

Rozpadły się tradycyjne więzi ekonomiczne: zaniknął handel wymienny oraz praktyka używania muszli jako środka płatniczego. Tubyłcy spychani są do roli biernych obserwatorów szybko zmieniającego się świata, w którym, jak się zdaje, nie przewidziano dla nich miejsca. Papuasi doświadczają cywilizacji przez karabiny maszynowe, ewangelię oraz różnego rodzaju dobra materialne. Wskutek tego zmasowanego ataku zdążyła już zniknąć pierwotna kultura plemienia Asmat. Ludzie żyjący dotychczas jak w czasach prehistorycznych, muszą w ciągu nieomal jednego pokolenia albo przyswoić sobie dorobek tysięcy lat ewolucji technologicznej, albo zniknąć z powierzchni Ziemi.

Trudno powiedzieć jak długo może jeszcze przetrwać tradycyjna kultura Papuasów. Uwodzicielskie miraż nowocześniejszego świata przerywają naturalny proces przekazywania tradycji z pokolenia na pokolenie. Dawna wiedza i umiejętności przestają być potrzebne, gorzej – są również wyszydzane.

Biorąc pod uwagę fakt, że przeciętna długość życia Papuasa wynosi około 45 lat, to przy dotychczasowym tempie zanikania tej kultury pewnym jest, że nie przetrwa ona życia nawet jednego pokolenia. Tym bardziej, że Papuasi nie mają swojego Dalajlamy. A, jak się wydaje, nikomu z zewnątrz nie zależy na ocaleniu ich świata. Najlepszym tego dowodem są praktyki miejscowej biurokracji, utrudniające prowadzenie badań i dokumentacji etnograficznych oraz nasilająca się polityka transmigracji, zmierzająca do tego, aby Papuasi stali się nieistotną mniejszością w swoim własnym kraju.





Zagroda papuaska, plemię Dani.



Byłem tam już 3 razy w 1998 i 1999 roku i chociaż momentami przysięgałem sobie, że już „nigdy więcej”, to gdy trudności mijały, rodziła się we mnie wizja kolejnej wyprawy. Każda odkrywała przede mną nowe, fascynujące miejsca, odkrywała rąbek tajemnicy Irian Jaya. W czasie moich krótkich pobytów miałem okazję zetknąć się z trzema górskimi plemionami: Lani, Dani i Kimyali oraz z najbardziej opornymi na wpływ cywilizacji, mieszkańcami bagiennej dżungli – plemieniem Korowajów, znanym z budowania domów wysoko na drzewach.

Irian Jaya ma niewytłumaczalną moc oczarowywania i przywiązywania ludzi, którzy choć raz tam trafili. Wielu z nich powraca tu, a nawet osiedla się z zamiarem pozostania do końca życia. Powodem tej fascynacji jest między innymi intensywność i swoista metafizyka kontaktów z Papuasami. Mimo bariery cywilizacyjno-językowej wyraźnie odczuwa się ich niepowtarzalność. Każdy, kto poczuł siłę i głębię papuaskiego spojrzenia, które przeświecła na wylot, nigdy nie zapomni tego wrażenia...

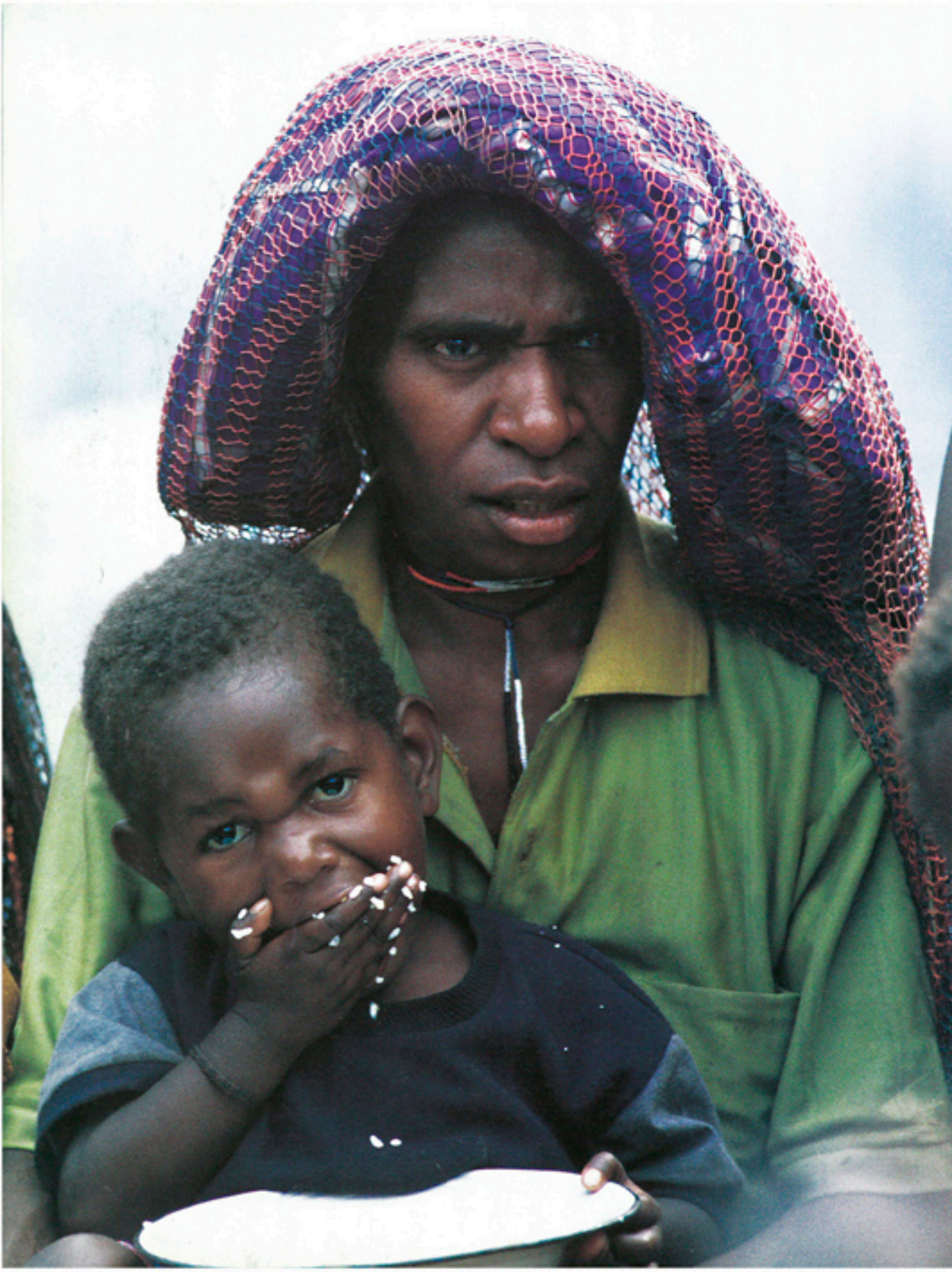
Jak się fotografuje Papuasów?

Tak jak w przypadku większości tzw. ludów pierwotnych, główna trudność polega na niemożności uniknięcia statycznego upozowania. Biały człowiek, tym bardziej z aparatem fotograficznym, natychmiast staje się sensacją w całej wsi. Niemożliwym jest dyskretne podpatrywanie życia Papuasów w sytuacji, gdy to oni z kolei, od rana do wieczora, stojąc na baczność, wpatrują się w nas i śledzą każdy nasz krok. Powodem tego zachowania jest nie tylko ciekawość, ale i czysta kalkulacja. Za każdą kłatkę trzeba zapłacić. Wpatrując się w białego, Papuas nie tylko spodziewa się zarobić, ale jednocześnie liczy każde pstryknięcie migawki. Większą swobodę można uzyskać inscenizując coś, bądź płacąc z góry za możliwość fotografowania jakiejś ceremonii, ale nawet wtedy nie ma mowy, żeby Papuasi zrezygnowali z okazji przyglądania się z bliska tak niepojętym przybyszom, jakimi są dla nich biali ludzie.

Równie trudne jest samo podróżowanie. Nie tylko z powodu bezdroży i ciężkich warunków klimatyczno-terenowych. Prawie połowa obszaru prowincji Irian Jaya jest zamknięta dla turystów albo z powodu aktywności partyzantów z Ruchu Wyzwolenia Papui (OPM), który wstawił się kilkoma spektakularnymi porwaniami obcokrajowców, albo z powodu zamieszek ludności będącej w konflikcie z lokalnymi władzami. Podróżowanie, nawet po terenach dozwolonych, wymaga specjalnego pisemnego pozwolenia, które trzeba każdorazowo ostemplowywać na posterunkach policji.

Samo dotarcie do odległych miejscowości, położonych w dżungli lub w górach, wymaga korzystania z drogich lotów czarterowych samolotami należącymi do kościołów misyjnych. Przy czym czarterem nazywa się tu możliwość dołączenia do lotu organizowanego dla potrzeb kościoła w czasie dogodnym dla tej instytucji. Hierarchia lotów jest następująca: najpierw pomoc w nagłych wypadkach, potem potrzeby kościoła, potem ludność miejscowa, a na końcu dopiero turyści, których misjonarze najchętniej w ogóle by nie brali, gdyby nie fakt, że wyśrubowane ceny biletów pomagają w znacznym stopniu sfinansować obsługę lotów misyjnych. Osobnym problemem są braki paliwa, którego dostawą zajmują się Indonezyjczycy, trzymając tym samym w szachu działalność misjonarzy.

To co wiem o Irian Jaya stanowi sumę moich własnych obserwacji i przeżyć, relacji przewodników i znajomych. Przy czym przepływ informacji bywał czasami karkołomny, np. z języka Korowajów na język Dani, potem na



indonezyjski i w końcu na łamany angielski. Cennym źródłem wiedzy były również rozmowy z misjonarzami, lekarzami i żołnierzami oraz wiadomości powszechnie dostępne w przewodnikach i internecie.

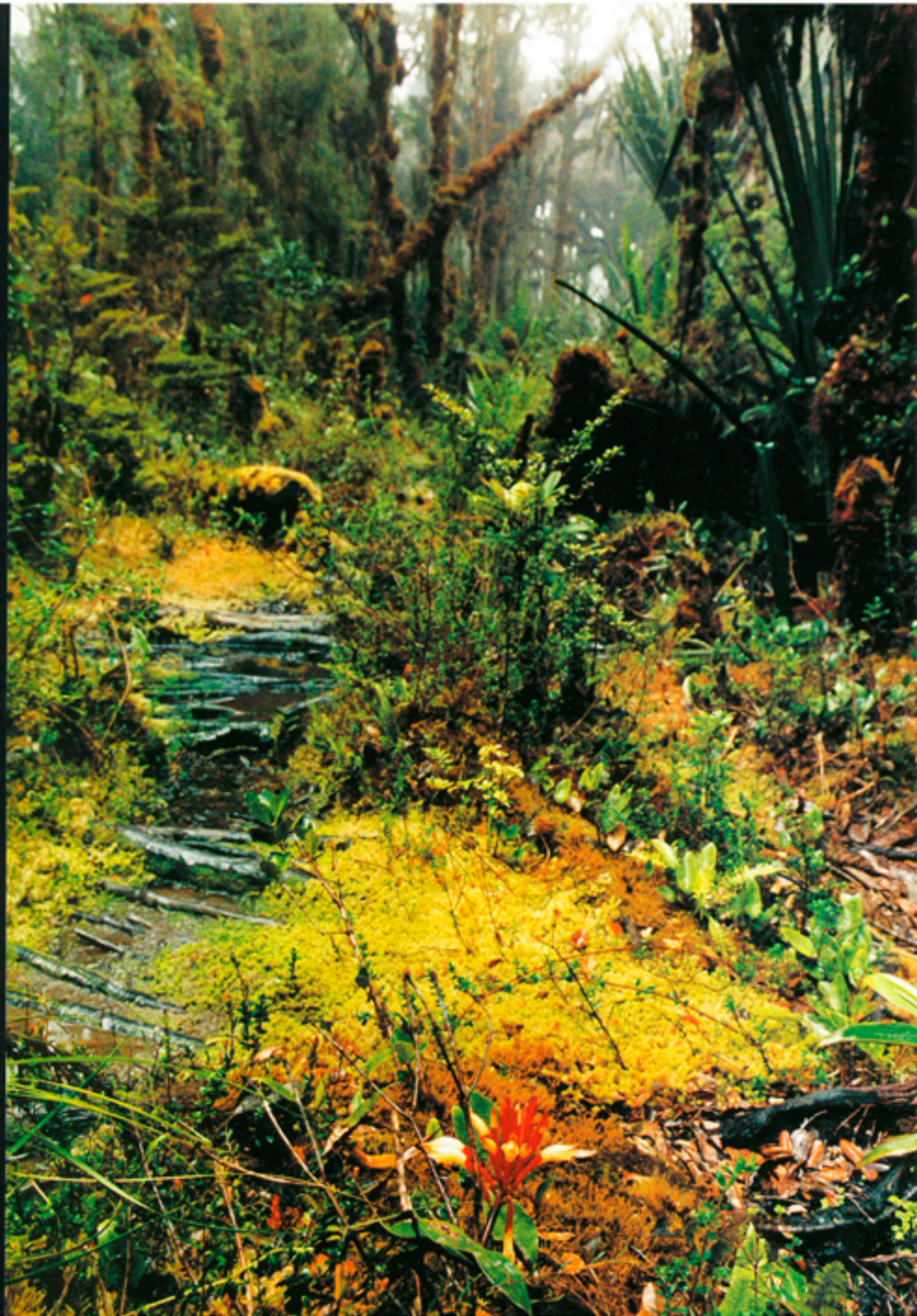
Podczas wielu rozmów, szczególnie z przewodnikami z plemienia Dani, odnosiłem wrażenie, że unosi się nad nimi duch Karla Heidera, tak jakby ten etnograf, badając zwyczaje plemienia Dani, określił kanon ich własnych wierzeń, który od tamtej pory jest przez nich powtarzany cudzoziemcom w formie mniej lub bardziej usystematyzowanej. A może jest tak jak mówił jeden z długo przebywających tam misjonarzy, że nasza „wiedza” odpowiada raczej temu, co chcielibyśmy usłyszeć od Papuasów, do czego jesteśmy już przyzwyczajeni. Może to stanowić tylko część prawdy, która nigdy nie będzie przed nami całkowicie odkryta, a nawet nie będziemy wiedzieć jaką część całości stanowi.

Relacje misjonarzy potrafią różnić się diametralnie w zależności od tego, czy źródłem informacji są protestanci, czy katolicy. Szczególnie w opowieściach tych pierwszych Papuasi i ich zwyczaje jawią się często jak żywe ucieleśnienie obecności szatana w świecie.

Skrajnym przykładem może być książka „Boska inwazja”, szczególnie pierwszy rozdział, zatytułowany „Pole bitwy”, oddający w pełni dążność jednego z Kościołów amerykańskich do wybudowania pomnika własnej chwały i męczeństwa.

Przeciwny biegun stanowią relacje idealizujące świat Papuasów, równie trudne do zweryfikowania w sytuacji, gdy dotyczą plemion, które osiągnęły już wyższy stopień cywilizacyjny.

Myślę, że bez wieloletniego, stałego pobytu w Irian Jaya nie sposób dociec jak naprawdę wygląda ten świat. Moje wrażenia są raczej rodzajem kolażu obrazów i opinii, z którymi miałem okazję się zetknąć. Świat Papuasów – jednoznaczny, prosty we wzajemnych relacjach, kolektywny – ma dla mnie wiele uroku w zestawieniu z naszą cywilizacją kreującą ludzi często wyobcowanych z ich własnego otoczenia.



Dżungla w kraju Kimyali.







MIT POCZĄTKU

Wśród wielu papuaskich plemion można spotkać taki sam mit o pojawieniu się ludzi i początkach ich życia na Ziemi. Przy czym słowa „ludzie” Papuasi używają wyłącznie na określenie członków własnego plemienia. Według tego przekazu wszyscy ludzie wyszli jednego dnia z dziury w ziemi (w innych wariantach mitu – z jeziora lub z pieczary). Wersje różnią się w zależności od plemienia, każde natomiast z nich twierdzi, że miejsce to znajduje się na jego terytorium.

Ziemia obfitowała wówczas w rośliny, zwierzęta i jedzenie. Panowała jedność, harmonia i pokój. Ludzie żyli jak w raju. Był wśród nich jeden, który uczył jak budować domy, przygotowywać jedzenie, uprawiać ziemię. Potrafił rozwiązać każdy problem, znał odpowiedź na każde pytanie. Zdobywał coraz większy autorytet, większy niż wodzowie klanów, i ludzie zaczęli obawiać się, że zacznie go wykorzystywać przeciwko nim, narzucając swoją wolę. Dlatego zabili tego człowieka. Jego ciała nie pogrzebali, lecz przykryli liśćmi.

Natychmiast poculi się bezradni. Zaczęli się rozchodzić w różnych kierunkach, a w nocy z zimna tak szczękali zębami, że przestali siebie rozumieć. Tak narodziła się wielość języków.

Pojawiły się wzajemne oskarżenia, podejrzliwość, zniknął spokój i harmonia. Zaczęły się pierwsze morderstwa, a kolejne akty odwetu doprowadziły do wojen między klanami, a potem plemionami. Skończył się Raj.

Po jakimś czasie ludzie zauważyli, że w miejscu, gdzie pozostawili przykryte liśćmi ciało zabitego, wyrosły słodkie ziemniaki, trzcina cukrowa oraz inne smaczne rośliny. Wtedy zrozumieli, że zabity nie był takim samym człowiekiem jak oni. Wygrzebali jego kości i podzielili je między wszystkie klany, tak aby każda rodzina otrzymała przynajmniej kawałek.

Z czasem ten kawałek kości został zastąpiony zielonym kamieniem *ye* zwanym *kaneke* – „serce wodza” – i był czczony jako największa świętość symbolizująca pradawny Raj – czasy harmonii, jedności, spokoju i szczęścia.

Kaneke jest więc symbolem związków łączących ludzi z ich przodkami, a przede wszystkim ze „źródłem wszystkich źródeł”. Przypisuje mu się główną rolę w kierowaniu wszystkimi dziedzinami życia. Ma decydujący wpływ na ich zdrowie, płodność, wyniki wojen, plony czy przebieg rytuałów.

Kaneke przechowywany jest w ukryciu na honorowym miejscu w domu mężczyzn i dostępny tylko nielicznym. Dla większości członków rodziny, a przede wszystkim dla kobiet, jest on w ogóle niedostępny – nigdy w życiu go nie widzieli i nigdy go nie zobaczą.

Mistyczna tęsknota za utraconym rajem jest istotą świata duchowego Papuasów. Tęsknota może być tylko niedoskonałym modelem przeszłości, zbiorem przedmiotów – symboli stale przypominających świat przodków. Doświadczenia współczesnych ludzi są tylko kontynuacją doświadczeń przodków.

Zdawać by się mogło, że w tym zapatrzeniu się w przeszłość jest jakiś obojętniający pesymizm. Okazuje się, że nie. Papuasi widzą to właśnie odwrotnie: można wrócić do raju i przywrócić czasy powszechnej harmonii. Nie jest to cel nieosiągalny. Trzeba tylko konsekwentnie i razem z innymi wypełniać przykazania przodków i bezwzględnie usuwać wszelkie piętrzące się przeszkody, które stoją na drodze do mitycznej jedności.



Według powszechnie
panującego mitu
wszyscy ludzie wyszli
tego samego dnia
z dziury w ziemi,
a w innych wariantach
tego przekazu –
z pieczary lub z jeziora.
Może z takiego?



WIERZENIA, WARTOŚCI I ZASADY MORALNE

Wiara w duchy, a szczególnie w duchy przodków, stanowi najważniejszy aspekt światopoglądu Papuasów. Duchy traktuje się jak żywych ludzi odgrywających ważną rolę w życiu plemiennym.

Tradycyjne sposoby postępowania przodków determinują każdą decyzję potomków. Papuas nie żyje dla samego siebie. Żyje razem ze swoimi przodkami. Posiadają siłę, zdolności i wiedzę potrzebną każdemu żywemu człowiekowi. Duchy w rzeczywistości są „żywymi zmarłymi” oczyszczonymi przez śmierć. Mogą być oni bardziej nienasycony, bardziej wymagający, bardziej mściwi, niż byli za życia. Jednocześnie ich siła może ocalić życie. Mogą bowiem duchowo uśmiercić wroga jeszcze przed bitwą, w której rzeczywiste zabicie go będzie już tylko „dopełnieniem formalności”.

Związek między żywymi i zmarłymi jest dla Papuasów oczywisty i realny. Dlatego tak ważne jest utrzymywanie dobrych stosunków z duchami. Ponieważ manifestują one swoją obecność tylko poprzez różne zdarzenia (choroba, nieurodzaj, wojna, ale również zdrowie, bogactwo, zwycięstwo), a niewiele osób potrafi kontaktować się z duchami (szczególnie na każde zawołanie), więc człowiek dowiadyuje się niejako *post factum*, w jakiej jest z nimi relacji. Dobrze jest z góry założyć, że duchy nigdy nie są całkowicie usatysfakcjonowane, wobec czego należy ciągle powtarzać czynności i rytuały, które sprawiają im przyjemność.

Papuasi wierzą, że duch porusza się po śmierci człowieka, toteż celem ceremonii powinno być nie tylko wyrażanie czci i obłaskawienie duchów, ale również kierowanie nimi, czy nawet kontrolowanie ich ruchów. Idealną relację wyraża życzenie „zostań tam, gdzie należysz”, czyli z dala od ludzkich domostw w specjalnie zbudowanym domu dla duchów, gdzie po kremacji ciała duch zmarłego powinien przebywać razem z innymi duchami ludzi z tej samej wsi.

Jak wszystkie ideały i ten również nigdy nie jest w pełni zrealizowany. Duchy nachodzą żywych z powodu niedokończonych spraw za życia, albo

z chciwości, albo z powodu zaniedbań, których żywi dopuścili się w odprawianiu magicznych ceremonii. Bo jak inaczej wytłumaczyć nieurodzaj w jednym ogrodzie a urodzaj u sąsiada obok, albo śmierć jednego z dwóch ludzi chorych na tę samą chorobę.

Papuasi budują więc szczególnego rodzaju konstrukcje, mające na celu albo zatrzymanie wędrujących duchów i zniechęcenie ich do zamiaru wejścia do domu czy wsi, albo wręcz odwrotnie – mające za zadanie, niczym piorunochron, przyciągnąć duchy, a następnie odesłać je do miejsca, z którego nie mogą szkodzić ludziom. Pokazano mi jedną z takich konstrukcji, na którą sam na pewno nie zwróciłbym uwagi. Za domem mężczyzn, na planie kwadratu, wbito w ziemię kilka patyków, a ze środka sterczał trochę dłuższy kijek. Mimo iż moi rozmówcy obnosili się ze swoim świeżo nabytym chrześcijaństwem, nie pozwolili mi sfotografować tego miejsca.

Papuasi wierzą, że całe ich otoczenie obdarzone jest życiem i duszą: drzewa, jeziora, rzeki, góry, kamienie i zwierzęta – z wyjątkiem owadów i płazów. Ludzi i cały świat łączą więc wzajemne związki i oddziaływania, zarówno pozytywne, jak i negatywne. Człowiek powinien być wyczulony na znaki przekazywane mu przez otoczenie, znaki będące zapowiedzią nadchodzących wydarzeń lub potwierdzeniem wcześniejszych wróżb. W ten sposób wszystko, co otacza człowieka, traktowane jest jako wymagająca widownia, która zasługuje na nasz szacunek i której należy się pełna uwaga. Życie w harmonii z całym światem oznacza dla Papuasów „dobre życie”. To, czy ktoś wie, „dobre życie”, można rozpoznać nie tylko po jego postępowaniu zgodnym z tradycją przodków, ale również po rodzaju stosunków z innymi ludźmi, przyjaciółmi, poczuciu wspólnoty, pracy, zdrowiu, płodności, prestiżu i sukcesach wojennych.

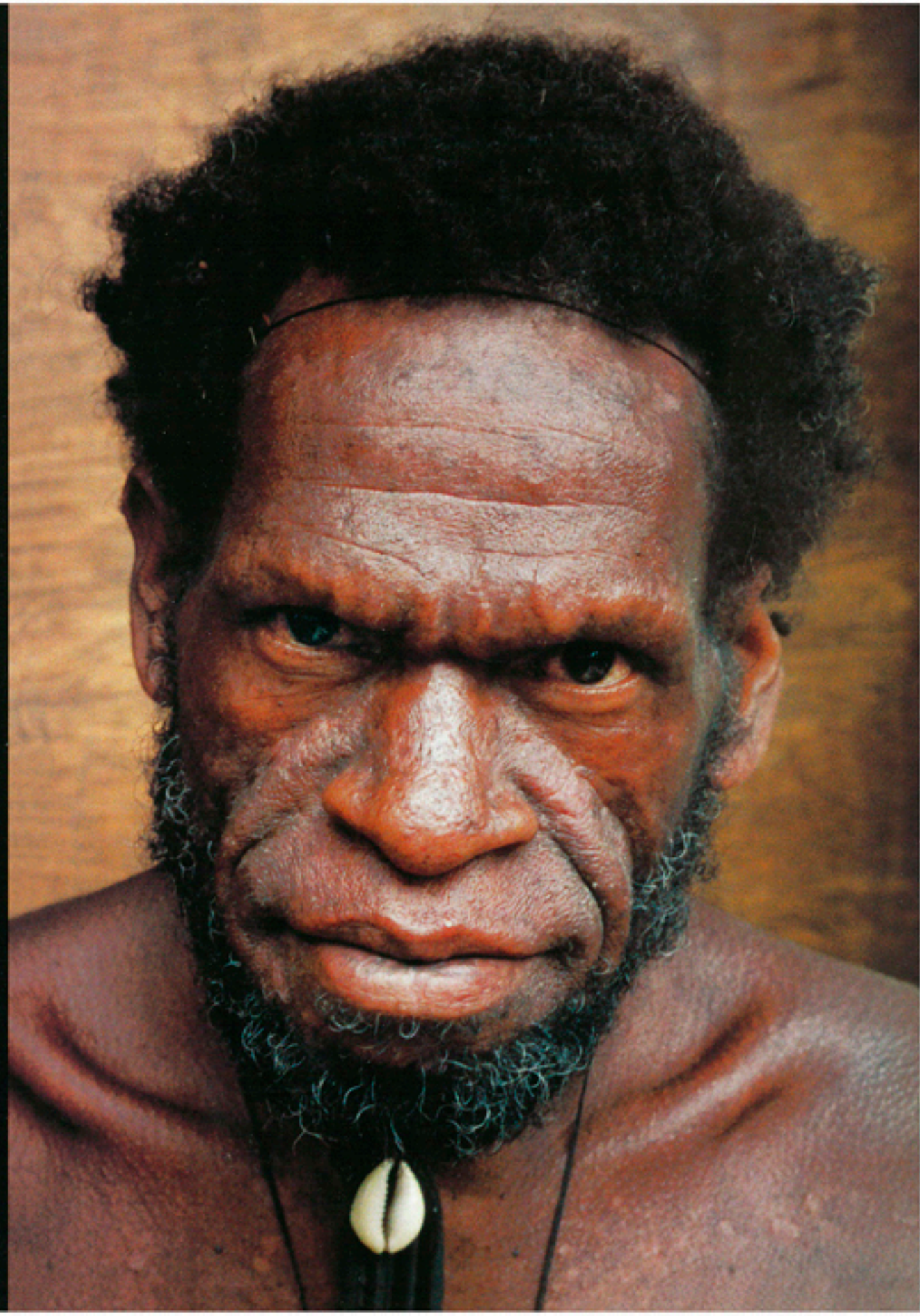
Jedną z najważniejszych wartości jest dla Papuasów relacja z innymi ludźmi. Odzwierciedlają to słowa powitania: „ojcze”, „matko”, a nawet „jesteś w moim sercu”, czy „jesteś częścią mojego serca”, kierowane także do obcych ludzi. Istotą życia człowieka, jego związku z innymi, z otoczeniem, czy z przodkami, nie jest „życie pomiędzy”, a „życie razem” z innymi. Ktoś kto izoluje siebie od innych uważany jest za „zmarłego” za życia, gdyż utracił jego cel. Pojęcie „życie razem” zawiera w sobie nie tylko wspólnotę, czy współdziałanie, ale również umiejętność dzielenia się z innymi zarówno dobrami materialnymi, jak i uczuciami. Papuasi uważają, że dzielenie się tym, co się ma, stwarza dobro, które przetrwa śmierć darczyńcy. Jedno z powiedzeń papuaskich mówi: „Stwarzaj innym możliwość mówienia, że jesteś dobry”.

Wyrazistym przykładem tego, jak Papuasi rozumieją dzielenie się uczuciami smutku czy żalu z powodu śmierci bliskiej osoby, był zwyczaj obcinania sobie części palców lub uszu, które palono wraz z ciałem zmarłego na stosie kremacyjnym. Zmarły zabierał tym samym część ciała należącą do kogoś z jego bliskich. Tworzyło to dodatkową, silną więź między zmarłym a żywymi.

Współdziałanie i dzielenie się najlepiej realizuje się w pracy, będącej kolejną powszechnie cenioną wartością wśród Papuasów. Wszyscy muszą pracować. Pracować razem. Nakaz ten ilustruje jedno z powiedzeń: „Ucz się od mrówek, jak wielkich rzeczy można dokonać, pracując razem”. Kto nie pracuje, a jest w stanie pracować, nie zasługuje na udział w podziale efektów wspólnej pracy i uznawany jest za człowieka wykluczonego ze wspólnoty; za kogoś, kto pogwałcił jeden z najważniejszych nakazów moralnych. Gdyż praca, tak samo jak wojny rytualne, ma przywrócić utracony raj, zbudować go na gruzach dawnych ideałów.



Każdy, kto poczuł siłę i głębię papuaskiego spojrzenia,
które prześwieśla na wylot,
nigdy nie zapomni tego wrażenia...





DEKALOG PAPUASÓW

* Słuchaj głosu przodków. Kto łamie tradycję, lub celowo jej urąga, musi być usunięty ze wspólnoty, a nawet może zostać zabity. Dotyczy to szczególnie łamania różnego rodzaju tabu, np. współżycia z żoną w ciąży, a także przez 4 lata po urodzeniu dziecka. Mężczyzna, który to uczyni będzie ścigany zarówno przez rodzinę żony, jak i własną.

* Musisz pracować – jest to twoim obowiązkiem. Musisz założyć ogród – to jest twoim szczególnym obowiązkiem.

* Nie wolno kraść. Jeżeli ktoś zabierze jedzenie z twojego ogrodu, lub pod twoją nieobecność bez pozwolenia weźmie coś z twojego domu, masz prawo go zabić.

* Nie cudzołóż. Jeżeli mężczyzna lub kobieta złamie to prawo, poszkodowana rodzina ma prawo zabić cudzołożnika.

* Kazirodstwo jest karane śmiercią. Nie tylko jest niezgodne z tradycyjnym, dobrym życiem przodków, ale również może być przyczyną klęski wojennej, gdyż odbiera winowajcy chęć do walki. W ogóle zresztą współżycie seksualne z kobietą odbiera mężczyźnie siły, urodę, a także osłabia jego refleks.

* Jeżeli ktoś chce cię zabić, masz prawo i obowiązek go zabić. Musisz stawiać mu czoło. Jako mężczyzna musisz umieć bronić swojej rodziny.

* Nie wolno ci unikać okazji do hartowania się oraz wypróbowania swojej siły i wytrzymałości.

* Musisz znać się na czarach i zabiegać, aby twoja moc była silniejsza niż czary przeciwnika.

* Bądź gościnny wobec mężczyzn, kobiet i dzieci, które przechodzą lub odpoczywają w twojej wsi (oczywiście dotyczy to tylko tych osób, które uzyskały pozwolenie wejścia do wsi – samowola w tym zakresie może mieć fatalne skutki dla potencjalnego gościa).

* Dziecko musi starać się zadowolić swoich rodziców. Musi być im posłuszne. Rodzice mają prawo zabić nieposłuszne dziecko.

* Rodzice muszą opiekować się dziećmi. Jeżeli je zaniedbują, mogą być ukarani, a nawet zabici przez innych członków plemienia.

Jak większość zasad moralnych, także i ten dekalog uległ dewaluacji, z wyjątkiem może zasady „śmierć za śmierć”. Jego ostrość stępiła również działalność misjonarzy, którzy dotychczasową jednoznaczność zastąpili wieloznacznością. Od wielu kar można się obecnie wykupić w zależności od kontekstu przewinienia i temperamentu uczestników, ale nadal ten zbiór zasad stanowi niewzruszalną podstawę, od której naliczana jest cena wykupu, i nie należy spodziewać się przebaczenia w imię „miłości bliźniego”.

Znamiennym jest, że nawet Indonezyjczycy, karząc za różnego rodzaju przestępstwa, muszą liczyć się z tymi zasadami i obniżać karę winowajcy, jeżeli jego czyny były usprawiedliwione odwiecznymi prawami.



Różne ptaki uznawane są przez poszczególne klany za spokrewnione z ludźmi.



OSŁONA PENISA — KOTEKA

Wśród setek papuaskich plemion najbardziej wyróżniają się mieszkańcy wyżynnych i górskich obszarów centralnej części wyspy. Tradycyjnym i często jedynym elementem stroju mężczyzn tego regionu jest koteka – osłona penisa wykonana z tykwy – wysuszonej części rośliny, zwanej kolokwintą – odpowiednio ukształtowanej podczas wzrostu. Zależnie od przynależności etnicznej właściciela koteka może różnić się kształtem, grubością i długością (najdłuższe mają po 60 cm). Może być nawet zakrzywiona lub zakończona fantazyjną futrzaną kitką. Zawsze natomiast noszona jest w pozycji „prezentuj broń”.

Długość koteki uwarunkowana jest pozycją mężczyzny w hierarchii danego rodu; najdłuższą nosi wódz. Wobec braku ubrania koteka stanowi również naturalny schowek na przedmioty cenne lub ważne dla mężczyzny (np. pieniądze, tytoń). Każdy dorosły mężczyzna posiada w swojej garderobie kilka kotek różniących się wielkością i kształtem. Niezależnie od funkcji naturalnego i jedynego podręcznego schowka, koteka służy Papuasom jako swoisty instrument, w który bębnią paznokciami w chwilach podniecenia, zdziwienia czy strachu.

Świadomi zainteresowania, jakie ozdoby te wzbudzają wśród białych, Papuasi na ogół chętnie i bez zażenowania pręży się przed obiektywami turystów (oczywiście za pieniądze), a także co krok oferują koteki na sprzedaż, nosząc całe pęczki różniące się wielkością, kształtem i zdobieniami.

Widok tych przyprawionych członków, wznoszących się jeden obok drugiego jak na paradzie, może nasuwać pytanie, jakie to męskie kompleksy stały się przyczyną tego wynalazku. Jeśli jednak znany jest nam papuaski „stosunek do stosunku”, wtedy zamiast szukać odpowiedzi u Freuda, może raczej należy podziwiać swoisty egalitaryzm tego zwyczaju, który być może (jak u niektórych plemion w Brazylii) ma chronić starszych mężczyzn przed wstydem wieku starczego.

Jak dotąd nikomu nie udało się ustalić genezy zwyczaju noszenia osłony penisa, mimo że tradycja ta występuje w wielu miejscach kuli ziemskiej i ma historię sięgającą starożytnego Egiptu (osłona penisa przysługiwała tam bogom). Przeciw pierwszym lepszym narzucającym się wyjaśnieniom, takim jak na przykład demonstracja potencji, ochrona penisa czy poczucie wstydu, przemawia fakt, że koteka używana bywa nawet wtedy, gdy ktoś nosi koszulę lub spodnie. Często nie zdejmuje się jej nawet do snu.

Żaden etnograf nie usłyszał od Papuasów spójnego wyjaśnienia czy nawet mitu, który rozświetliłby tę zagadkę. Jakiś niebanalny powód musiał skłonić kiedyś ten lud do zadania sobie trudu i bólu noszenia koteki w tropikalnym klimacie wyspy. Używano jej również w czasie polowania i wojny, gdy możliwie najsprawniej i najszybciej trzeba było poruszać się w buszu – rzecz dla nas zupełnie nie do wyobrażenia – z takim „instrumentem” dyndającym na, bądź co bądź, bardzo wrażliwym miejscu.

A może koteka jest po prostu znakiem optymizmu wyróżniającym Papuasów: „silny, zdrowy i zawsze gotowy”? I to nie, gdyż koteka uniemożliwia erekcję lub czyni ją bolesną. Tutaj być może leży jedno z wyjaśnień zagadki, gdyż Papuasi uważają stosunek seksualny za rzecz niebezpieczną i odbierającą siły mężczyźnie. Stąd życie seksualne ograniczone jest wieloma tabu i nawet w małżeństwie mąż i żona syplają osobno. Jeżeli jednak czas w sensie rytualnym jest ku temu odpowiedni, a mąż chce współżyć ze swoją żoną, wówczas umawiają się i udają do chaty żony, zamykając za sobą drzwi. Jeśli ktokolwiek odwiedzi wtedy wieś i spyta o tego mężczyznę, inni poinformują go bez ogródek, gdzie przebywa i co właśnie robi.

Nikt dotąd nie opisał życia seksualnego Papuasów. Próbowala to zrobić amerykańska etnograf, która poślubiła jednego z wodzów Danich, Bohoroka. Po trzech miesiącach rząd Indonezji unieważnił małżeństwo, zabral jej wszystkie notatki i zdjęcia oraz deportował z kraju. Dziwne jednak, że po tej „przygodzie” nie opublikowała żadnych wyników swoich badań.

Stosunek Papuasów do kobiety zawiera się w dwóch skrajnościach. Z jednej strony kobieta jest cennym nabytkiem, za który w momencie ślubu trzeba zapłacić nawet 20–50 świń. Z drugiej strony, w warstwie semantycznej wyraz „kobieta” leży najniżej: poniżej „świni”. Jeszcze dzisiaj w miejscach odległych od ośrodków cywilizacji, kobiety są niemiłosiernie eksploatowane w gospodarstwie i bite przy każdej okazji. Przed przybyciem misjonarzy zdarzało się, że doprowadzane do skrajnej rozpacz popępiały samobójstwa (rzadkość u plemion pierwotnych), zabijając przedtem własne dzieci. Jednocześnie jednak to właśnie uprowadzenie lub zgwałcenie kobiety jest drugą, po kradzieży świni, przyczyną okrutnych wojen plemiennych.

Węc komu i co chcą zademonstrować Papuasi wieczną erekcją swojej koteki? Nie chodzi tu na pewno o demonstrację siły, bo nie znalazły potwierdzenia opinii, jakoby plemiona noszące kotekę były bardziej agresywne czy też prowadziły bujniejsze życie seksualne od tych, które nie używają tego typu ozdób. Pewne jest natomiast, że tam, gdzie koteka jest w powszechnym użyciu, jej brak uchodzi za oznakę słabości umysłowej i wielki wstyd. Ci, którzy odważyliby się paradować *sauté*, mogliby zostać oskarżeni o niemoralne prowadzenie się i cudzołóstwo – a to karane jest śmiercią. Osłona penisa, widoczna już u dorastających chłopców, traktowana jest nie tylko jako symbol seksualnej dojrzałości, ale przede wszystkim jest widocznym znakiem powściągliwości i skromności, a noszenie koteki jest również symbolem społecznej kontroli nad życiem seksualnym.



Tradycyjnym
elementem stroju
mężczyzn,
zamieszkujących
obszary wyżynne
Irian Jaya,
jest koteka –
osłona penisa
wykonana
z tykwy –
wysuszonej
części rośliny,
zwanej
kolokwintą.



ŚWINIA

Mimo różnic w stroju, wyglądzie, sposobach malowania ciała, budowania domów i wielu odmiennych zwyczajów życia plemiennego, wspólna wszystkim plemionom papuaskim jest miłość do świń. Zwierzę to bywa karmione przez kobiety piersią.

Świnia jest najbardziej pożądanym dobrem materialnym, wyznacznikiem prestiżu, lokatą kapitału i „walutą wymienną”. Jej krew, stosowana do nacierania, uważana jest za bardzo silne lekarstwo zarówno dla człowieka, jak i zwierzęcia, na przykład do wyleczenia innej świni pogryzionej przez szczury.

Tłuszczu świni używa się do rytualnej ceremonii smarowania kamienia *kaneke*, a także ciała zmarłego. Ma zapewnić szczęście, przychylność duchów, odpędzić złe moce i choroby od całej społeczności. Używa się go również w celach kosmetycznych, gdyż czarne, lśniące ciało uważane jest za ideał zdrowia i piękna. Chroni również przed wieczornym zimnem. Wydawałoby się, że w warunkach tropikalnych ciało smarowane tłuszczem zwierzęcym staje się źródłem przykrego odoru. Otóż nie, to raczej my śmierdzimy w tamtym klimacie. Dlatego w początkach kontaktów z białymi, w czasie wspólnego marszu, Papuasi prosili, żeby biali chodzili od zawietrznej.

Podarowanie komuś świni nadaje specjalny, nieraz rytualny, charakter zarówno samemu darowi, jak i okolicznościom, które temu towarzyszą. Nie można zastąpić go jakimiś innymi (nawet cenniejszymi) przedmiotami.

Zgodnie z odwieczną tradycją za żonę trzeba dać jej rodzinie od kilku do kilkudziesięciu świń, a potem od jednej do pięciu świń za każde urodzone dziecko. Darem ze świń można się również „wykupić” od niechylnej śmierci przy przekroczeniu powszechnych norm moralnych, a czasami można nawet zatrzymać „koło odwetu” po zabiciu kogoś. Co ciekawe, to liczba świń rozdanych w czasie specjalnego święta (a więc umiejętność dzielenia się swoim

majątkiem), a nie tylko charyzmatyczna osobowość czy militarne talenty, ma wpływ na uzyskanie pozycji wodza.

Nic nie oburza Papuasa bardziej niż odebranie mu jego świń i, tak jak dawniej, kradzież tego zwierzęcia jest najczęstszą przyczyną walk międzyplemiennych. Choć teraz toczono na małą skalę i potajemnie, to wciąż pochłaniają wiele ofiar.

Świnie zabija się z bliskiej odległości, strzałą z łuku prosto w serce. Mięso najczęściej rozcina się ostrymi jak brzytwa nożami z bambusa. Do pieczenia służy wyłożony trawą dół w ziemi, do którego wkłada się na przemian mięso zawinięte w różne liście oraz rozgrzane w ognisku kamienie. Wypełniony dół przykrywa się trawą, liśćmi paproci i kamieniami. W ten sposób mięso piecze się ponad godzinę.

Spróbowałem trochę jarzyn pieczonych razem z mięsem w takim dole. Smakowały okropnie, ale myślę, że było to spowodowane zarówno brakiem soli, jak i użyciem ziół innych niż te, do których jesteśmy przyzwyczajeni. Zapewne negatywny wpływ na moje odczucia miała również świadomość, że dawniej w analogiczny sposób pieczono mięso ludzkie, używając być może tego samego dołu, z którego ja jadłem warzywa.



Głównym daniem każdej uroczystości jest mięso świni.

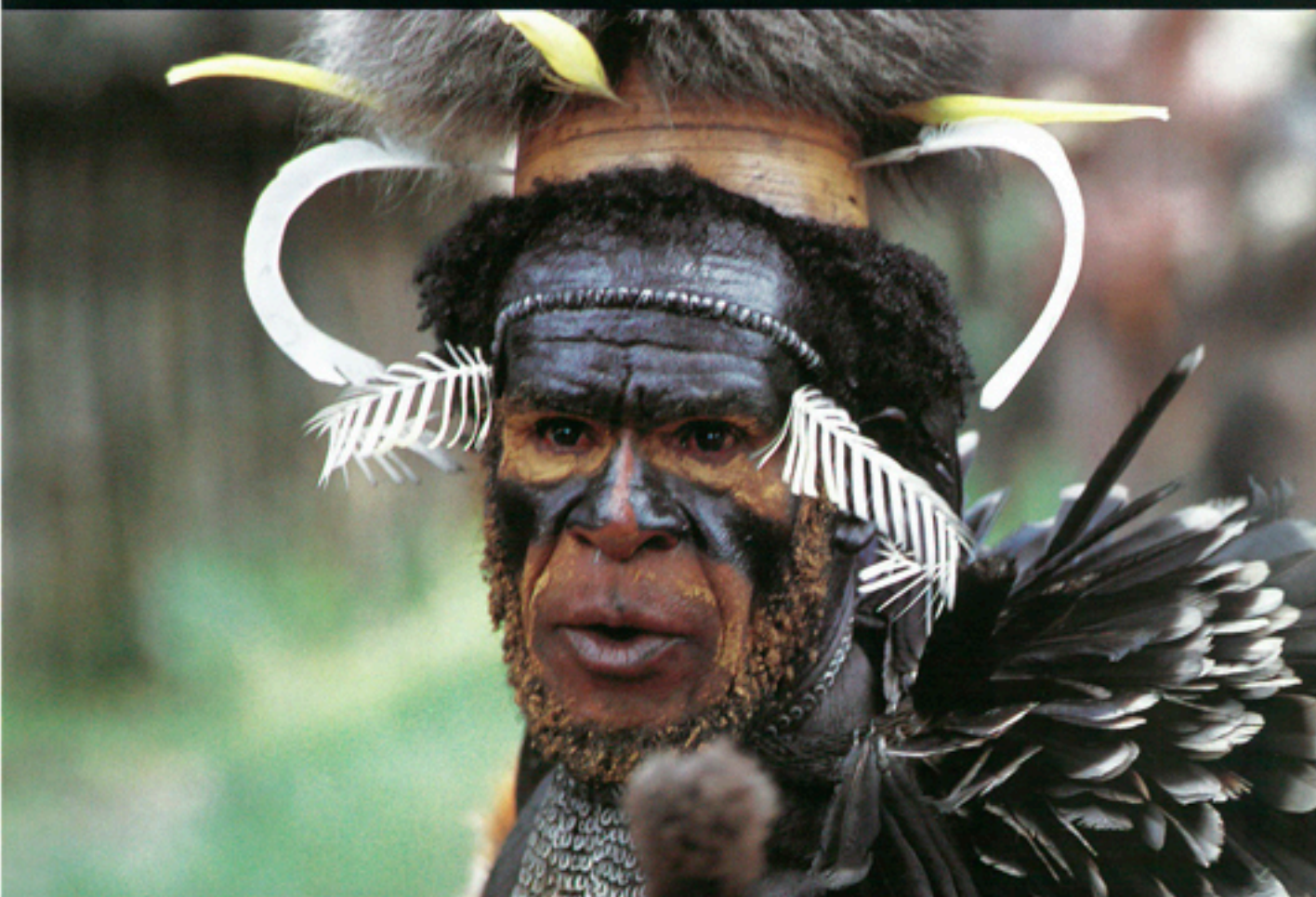


Mięso zawinięte w liście
wklada się do dołu
wyłożonego trawą na przemian
z rozgrzаныmi w ognisku kamieniami.





Starszyzna plemienna może pozwolić sobie
na beczynne oczekiwanie na ucztę.



Wódz wsi w okolicy Jiviki, Dani,
mimo że nie jest przewodnikiem, zna trochę angielski.
Podobno zawieziono go do Japonii. Nie udało mi się dowiedzieć,
kto i dlaczego zaaplikował mu taki „wstrząs”.
W każdym razie wyjazd ten nie miał żadnego wpływu
ani na jego dalszy sposób życia, ani na losy jego wsi.



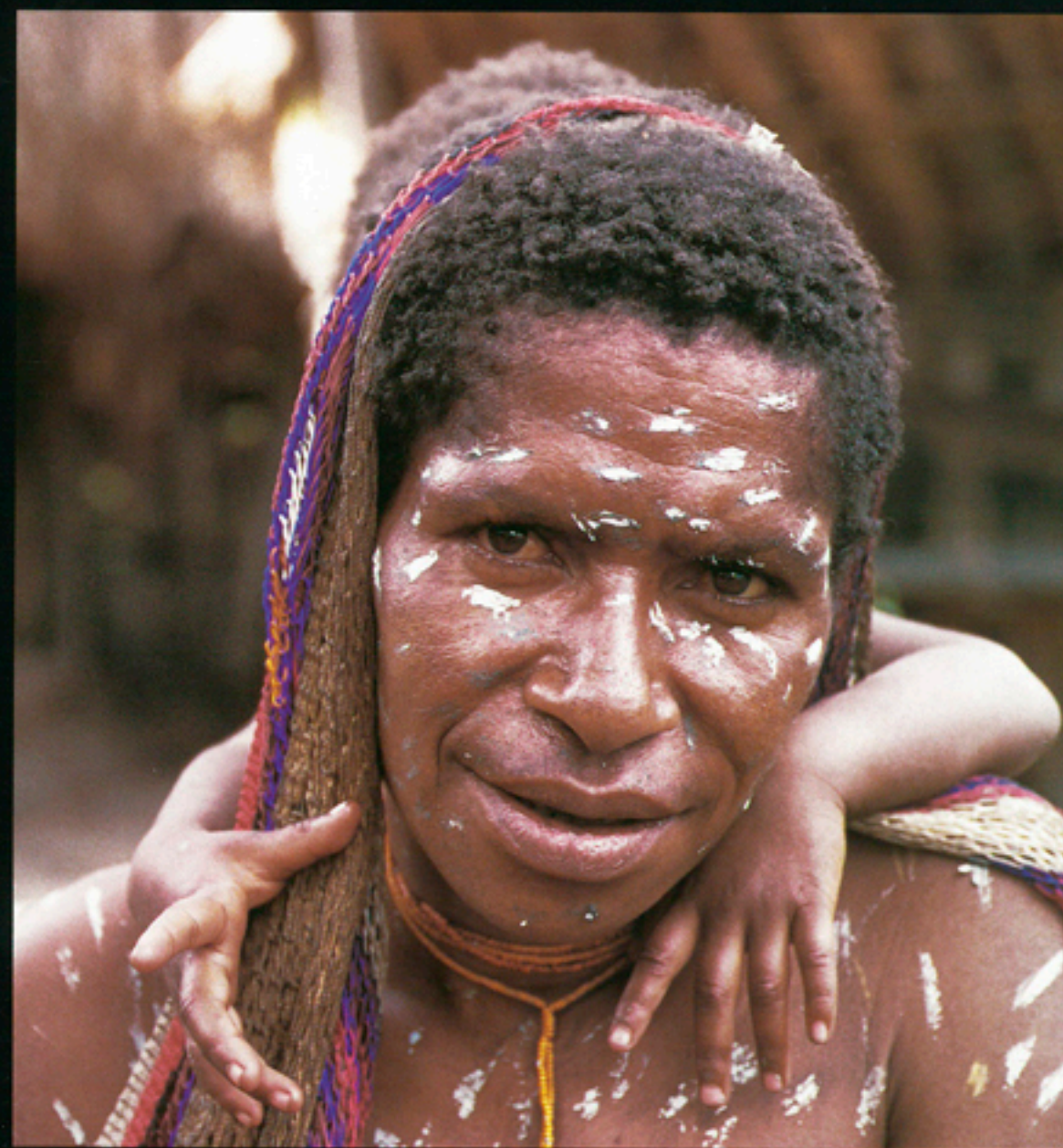
Podczas uroczystości zaślubin
Dani malują ciała i ozdabiają je
różnymi wisiorkami.
Barwnik żółty uzyskiwany jest
z rozartych orzeszków ziemnych.
Wieś Jivika.



Zaślubiny to przede wszystkim okazja do dobrego jedzenia.



Dzieci muszą być posłuszne rodzicom.
 Rodzice muszą opiekować się dziećmi. Papuaski dekalog
 jest tutaj bardzo rygorystyczny i przewiduje nawet
 karę śmierci w wypadku nie zastosowania się do tych nakazów.
 Również, jak u wszystkich tzw. ludów pierwotnych,
 żywą jest zasada: żeby dobrze wychować
 jednego człowieka, potrzebna jest cała wieś.





WAMENA

Miasteczko liczące około 10 000 mieszkańców, główny ośrodek administracyjny obszaru wyżyn. Stąd zaczyna się większość wypraw. W pobliskich wioskach można zetknąć się z żywą jeszcze kulturą plemienia Dani. Rok temu w centrum miasta czynny był przez sześć dni w tygodniu, od rana do wieczora, największy i najbardziej malowniczy bazar w Irian Jaya. Prehistoria zderzała się tam z cywilizacją, można było kupić łuki i strzały, funkcjonował tam nawet rodzaj handlu wymiennego. Przypadkowe spotkania członków wrogich plemion czy klanów kończyły się nieraz gwałtownym starciem, wciągającym w kłótnię lub walkę nawet kilkadziesiąt osób.

Na początku 1999 roku władze zrównały bazar z ziemią i przeniosły plac targowy parę kilometrów za miasto. Akcja ta była spowodowana rzekomo chęcią oczyszczenia centrum miasta z brudu, zlikwidowania miejsca deprawacji oraz rozwiązania problemu kłótni, które tam często wybuchały. Tym samym jednak zlikwidowano ważny dla okolicznych mieszkańców ośrodek życia społecznego, w którym koncentrowało się nie tylko życie gospodarcze, ale i całe „życie kulturalne” regionu. Po początkowym oszołomieniu Papuas znaleźli jednakże sposób na wypełnienie tej pustki. Na placu niedaleko starego bazaru powstał już załazek nowego targowiska, a dwa niedalekie skrzyżowania ulic stały się nowym miejscem spotkań.



Stary rynek w Wamenie, rok 1998.

Kolejne zdjęcia aż do strony 63 przedstawiają scenki z najbardziej malowniczego w Irian Jaya, tradycyjnego bazaru.

Na sąsiedniej stronie zrównany z ziemią stary rynek w Wamenie, rok 1999.



Przeznaczone do sprzedaży nadwyżki z własnych upraw są zwykle niewielkie.

Papuasi stosują stałą cenę towaru, która nie zależy od takich zmiennych, jak transport czy sezonowość podaży, a więc na przykład pomidory kosztują tyle samo na wsi, co na odległym rynku w Wamenie i na ich cenę nie ma wpływu ilość pojawiającego się towaru.

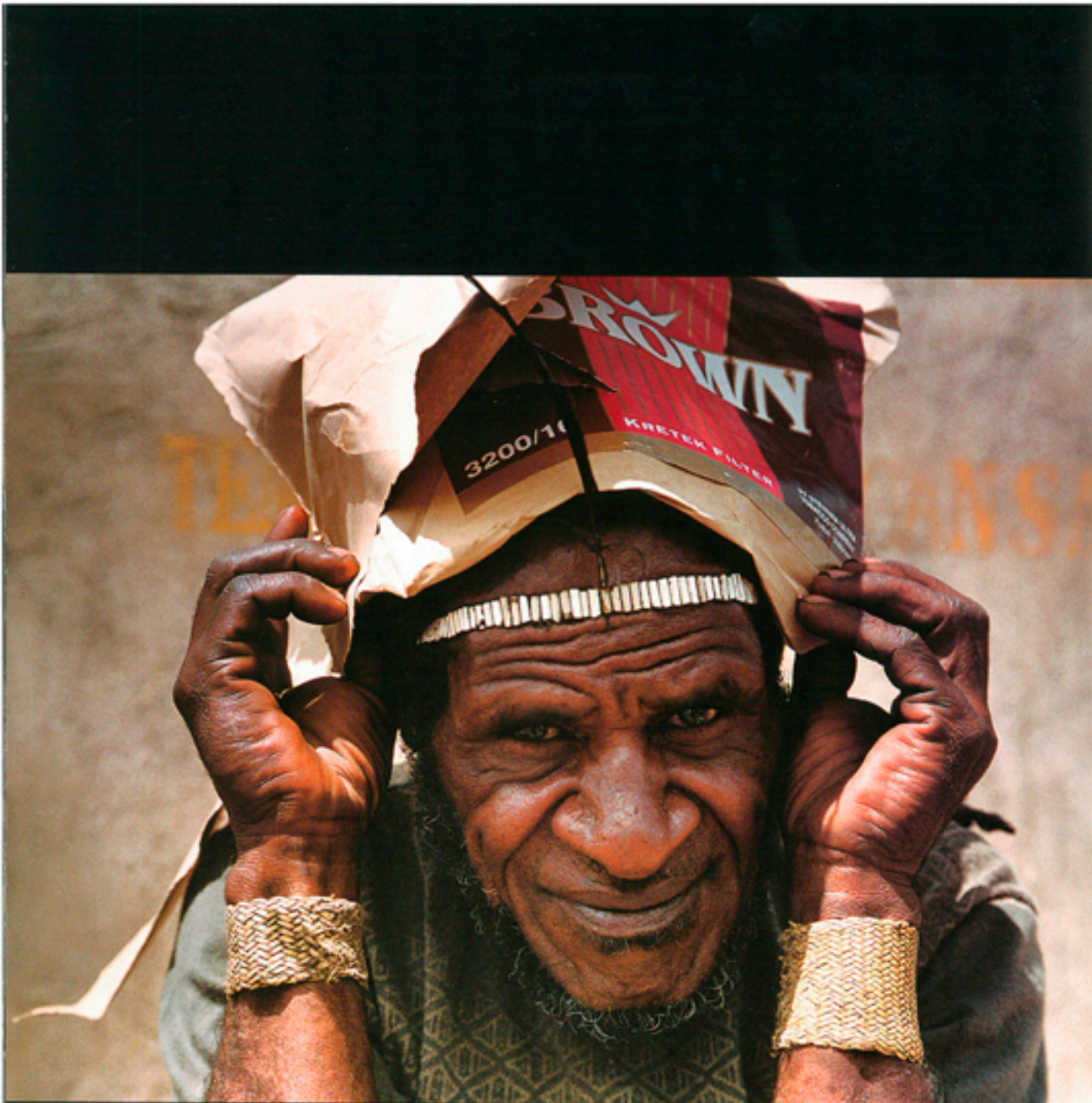


Banknoty zamiast kartki z ceną tytoniu.





Papuaska drumla i kawałek tytoniu to niezbędne wyposażenie każdego mężczyzny. Wspólne palenie i przygrywanie na drumli jest towarzyskim rytuałem, któremu godzinami oddają się tubylcy.



Pomysłowość w doborze nakryć głowy jest nieograniczona...





Mięso wieprzowe i wołowina sprzedawane są
na oddalonych od siebie straganach.
To wynik obecności indonezyjskich muzułmanów.
Papuasom nie robiłoby to różnicy.



Skrawki nieoszlifowanego lustra rozchodziły się błyskawicznie.



Z roku na rok spotykałem w Wamenie coraz mniej nieubranych tubylców.



LANI

Plemię Lani (zwane także Zachodni Dani) liczy około 130 000 osób mieszkających na zachód od Doliny Baliem. Mężczyźni Lani noszą grubą kotekę. Malowniczo łączą tę i inne tradycje ze współczesnością. Mieli najdłuższy kontakt z misjonarzami i łatwiej układały się ich stosunki z białymi. Byli znacznie mniej wojowniczy, niż ich sąsiedzi z doliny. Może dlatego, że dużo ciężiej musieli pracować na nieurodzajnej, górzystej ziemi.

Właśnie tam udało mi się zobaczyć i sfotografować tradycyjny pogrzeb – kremację. Dopiero za trzecim pobytem w Irian Jaya trafiłem na ten rytuał. Trudność wynika głównie z faktu, że ceremonia ta odbywa się bardzo szybko po śmierci i zanim wieść się szerzej rozniesie, jest już po wszystkim.

W jednej ze wsi, w której nocowałem, zmarła kobieta. Jeszcze 30 lat temu mogłoby się to źle dla mnie skończyć. Prawdopodobnie moje pojawienie się we wsi i jej śmierć nie zostałyby zinterpretowane tylko jako zbieg okoliczności.

Fotografia nie oddaje atmosfery i przede wszystkim niesamowitego dźwięku – pomruku, w którym wymieniane są zalety zmarłej. Trudno także pokazać jak tłum żałobników zaczyna płakać „na zawołanie”, gdy tylko nadchodzą nowe grupy gości – osób bliskich zmarłej. Zbiorowy lament powtarzany jest dziesiątki razy przez prawie siedem godzin. Rzecz ma charakter niewątpliwie rytualny, ale szczególnie w wypadku prywatnych pogrzebów w kręgu rodzinnym wyrażany żal sprawia wrażenie szczerego. Każdy z krewnych „daje i otrzymuje” tę samą „dawkę” płaczu i współczucia. W wypadku pogrzebów wódzów wsi, gdzie jest dużo dalszych krewnych i obcych osób, żal ten wyraża się mniej dramatycznie i ekspresyjnie.

Na pogrzebie nie tylko wychwala się zalety zmarłego, ale również karci się go za złe uczynki (lenistwo, kłamstwo, zachłanność, gniew, aspołeczne zachowanie). Ten fragment ceremonii jest ostatnim momentem, gdy o zmarłym mówi się cokolwiek złego. Po tych „wypominkach” ku przestrodze całej społeczności, nikt już nigdy nie wyrazi się o nim źle.

Lani malowniczo
łączą własną
tradycję ze
współczesnością.





Osada Danime, kraj Lani.



Często właśnie ubrania, a nie nagość uwidaczniają nędzę.





Mimo kilkudziesięcioletniej obecności misjonarzy, obcy nadal wzbudza strach.





Kremacja: plemię Lani.

Uścisk palca jest gestem
powitania i współczucia
przekazywanym także
podczas ceremonii kremacji.





KIMYALI

Plemię Kimyali liczy około 20 000 osób. Zamieszkuje tereny na południowy wschód od Wielkiej Doliny. Charakterystycznym elementem stroju mężczyzn, oprócz wąskiej, spiczastej koteki, są cienkie, rattanowe obręcze, oplatające biodra i sprawiające wrażenie szerokiej, ażurowej przepaski.

Pierwsi misjonarze dotarli tam dopiero w 1962 roku, zastając drewniane i kamienne narzędzia, muszle używane jako środek płatniczy i handel wymienny. Jeszcze w połowie lat siedemdziesiątych kraj ten był określany jako „kraj kanibali”.

Wybierając się do kraju Kimyali, postanowiłem „przeskoczyć” awionetką częściej odwiedzany rejon Wamena-Kosarek i nie iść, jak większość turystów, w dół do Angguruk, ale z Kosarek przez wieś Kono, leżącą na wysokości prawie 4000 metrów, dojść górami do miejscowości Nalca, położonej w krainie plemienia Hmanggona.

Moi przewodnicy twierdzili, co prawda, że kraj Kimyali leży bardziej na południe od okolic Kono, zamieszkałych przez plemię Nipsan. Dla mnie jednak nie było istotniejszej różnicy między tymi plemionami, zarówno w wyglądzie, jak i w sposobie budowania chat, czy ozdabiania ciała. Ważniejszą sprawą była zgodna opinia wszystkich przewodników co do tego, że wkraczamy w trudno dostępne i słabo zaludnione rejony, gdzie jeszcze nie tak dawno praktykowano kanibalizm, a nieliczni mieszkańcy są wrogo nastawieni zarówno do białych przybyszów, jak i do wszystkich „obcych”. Dotychczas tylko dwóch przewodników z Wameny przeszło tę trasę. Mój przewodnik nalegał na wzięcie znajomego tragarza z Wameny, żeby czuć się bezpieczniej pośród wynajętych na miejscu dodatkowych pomocników.

Kłopoty zaczęły się tuż za Kosarek, gdy dołączyła do nas chmara wujków i kuzynów zatrudnionych przez nas osób. Nieproszeni, towarzyszyli nam przez parę godzin, bardzo opóźniając marsz. Liczyli chyba na darmowe





Osady Kimyali.



Wieś
plemienia
Hmanggona.





jedzenie. W końcu trzeba było zatrudnić paru z nich, dopiero wtedy reszta nas opuściła.

Po trzech dniach marszu tubylcy zażądali dwa razy większego wynagrodzenia. Stanowczo odmówiłem. Łatwo było mi unieść się honorem i odesłać „buntowników” do domu, ale po długich negocjacjach okazało się, że zostaliśmy „na lodzie” w środku dżungli – brakowało nam trzech osób i nie mogliśmy ruszyć się z miejsca. Na szczęście o świcie następnego dnia znaleźli się nowi ochotnicy.

Górzysta droga przez dżunglę z Kosarek do Kono okazała się najpiękniejszą, ale i najtrudniejszą wędrówką spośród tych, jakie odbyłem w Irian Jaya. Trasa prowadziła przez bagna porośnięte złotym mchem i paprociami o niespotykanych kształtach, strome płataniny omszałych pni, kamieni i kolczastych lian, wśród których trudno było znaleźć choćby piętnastominutowy odcinek prostej, poziomej i suchej ścieżki. Dodatkowo trafialiśmy na obszary, gdzie potrafiło padać bez przerwy prawie przez dwie doby.

Przygnębiające wrażenie robili napotykan tam ludzie. Wyglądali, jakby kontakt z cywilizacją odebrał im chęć do życia. Wydawało się, że wszystko jest jak za dawnych czasów. Wystarczyło jednak uważnie przyrzeć się szczegółom, na przykład sposobom malowania i ozdabiania ciała czy ornamentacji broni – nie było w nich tej fantazji i wyrafinowania, jakie udało się zachować innym plemionom, a szczególnie Dani. Uderzała apatia i marazm, brak zainteresowania własną tradycją, a nawet brak dążności do zdobywania dóbr cywilizacji, choćby po to, żeby ułatwić sobie życie, tak jak to robią ich sąsiedzi, plemię Hmanggon. Zagubili też jakąś pierwotną radość istnienia, jaką zaobserwować można wśród Korowajów. Smutni, wyrwani ze swojego świata epoki kamiennej i niepotrafiący odnaleźć się w nowym świecie, wydawali się ludźmi z przetrąconą duszą.



Jeszcze w połowie lat siedemdziesiątych kraj ten był określany jako „kraj kanibali”.





W rytualnym tańcu wojownicy wzajemnie rozpalają w sobie ogień walki.



Pozornie wszystko wygląda
jak za dawnych czasów. Wystarczy jednak
wyraźniej przyjrzeć się szczegółom,
na przykład sposobom malowania
i ozdabiania ciała czy omamentacji broni
lub wyglądowi chat, ażeby dostrzec,
że ludzie ci zatracili fantazję i wyrafinowanie, jakie
udało się jeszcze zachować innym plemionom.
Smutni, wyrwani ze swojego świata
epoki kamiennej, nie potrafią odnaleźć się
we współczesności.





Umysłowo chora kobieta.

W większości trudno dostępnych osad, wiązanie rąk jest jedynym sposobem radzenia sobie z tym problemem przez małą społeczność. Dla wszystkich jest to najbezpieczniejsze rozwiązanie.





KANIBALIZM

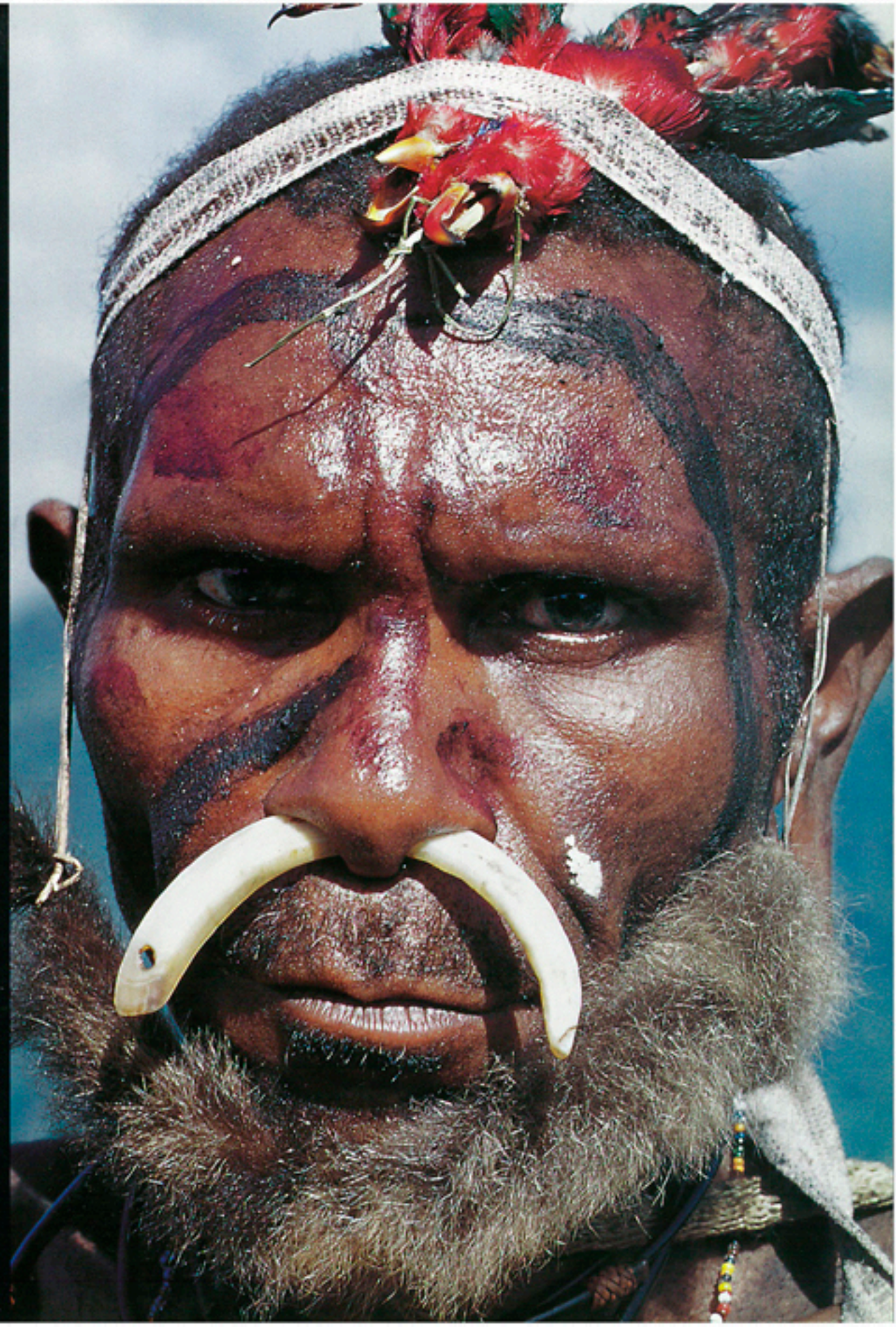
Zaciekle tępiony przez kolonizatorów, misjonarzy i Indonezyjczyków, kanibalizm prawdopodobnie praktykowany jest nadal w odległych zakątkach wyspy. Ostatni odnotowany przez misjonarzy wypadek miał miejsce w 1989 roku.

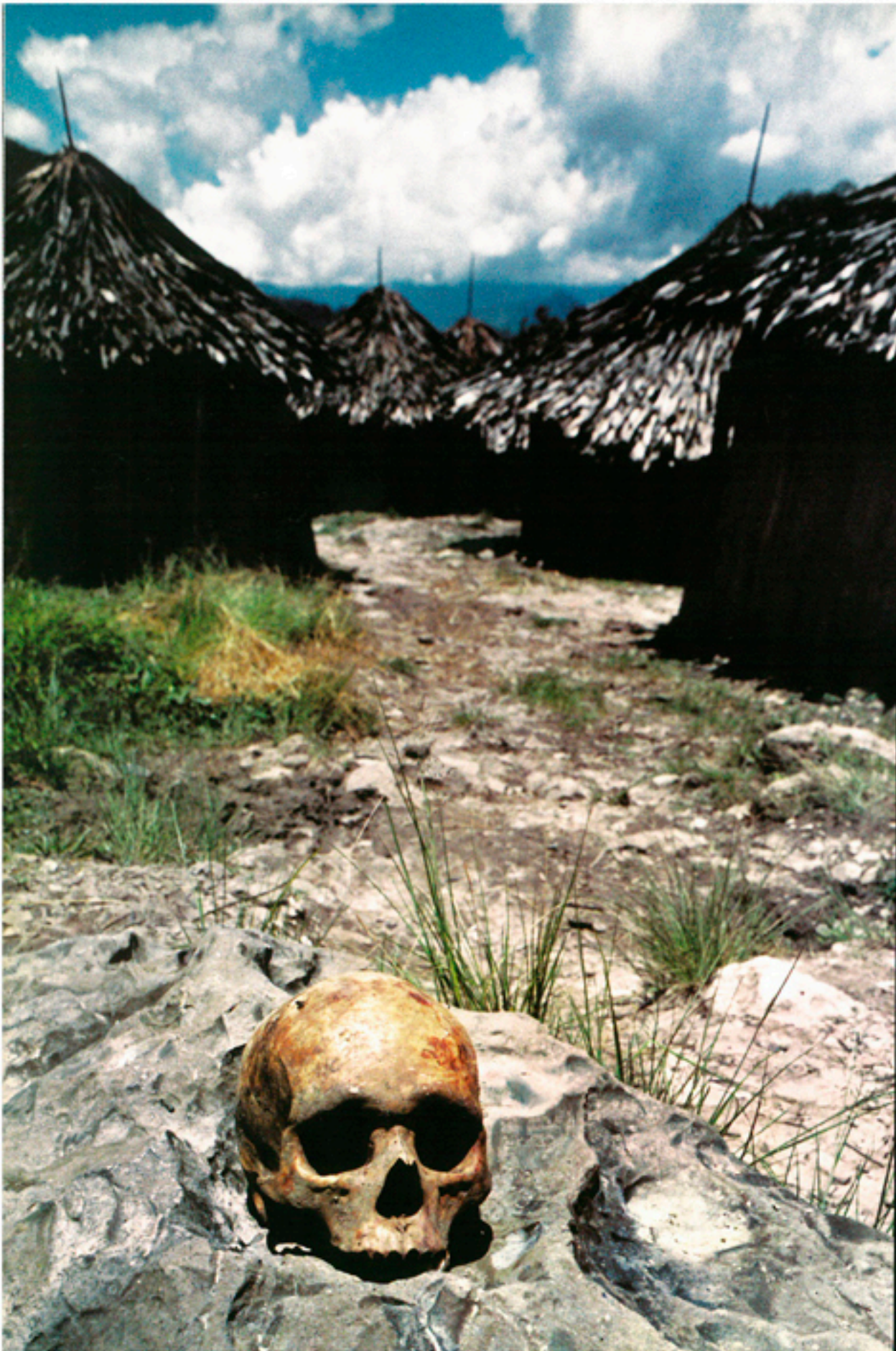
Z dużym prawdopodobieństwem można przyjąć, że znaczna część Papuasów, mających obecnie około 45 lat, wielokrotnie jadła ludzkie mięso.

Procederowi temu sprzyjał bądź sprzyja fakt, że wśród znacznej części Papuasów mięso człowieka uchodzi po prostu za wielki przysmak. Ceni się je lub ceniło bardziej niż wieprzowinę (szczególnie dłonie, przedramiona i uda). Znajduje to nawet odbicie w warstwie leksykalnej: człowieka można określić mianem „długa świnia”.

Kanibalizm był integralną częścią tradycji wojen rytualnych. Zabijając i zjadając wroga, papuaski wojownik pokazuje jego współplemięńcom, że nie ma różnicy między nimi a świniami. Z kolei jedzenie własnych zabitych wiąże się z wiarą, że w ten sposób nabywa się ich zalety.

Ciało ludzkie pieczono tak jak inne mięso w dołach z rozżarzonymi kamieniami. Jeśli ofiara została pojmana żywcem, to z przetrąconymi nogami musiała przyglądać się wszystkim kulinarnym przygotowaniom (zbieraniu liści i ziół, rozgrzewaniu kamieni) oraz znosić docinki całej wsi. Zdarzały się również wypadki wyjątkowo okrutnych i poniżających praktyk stosowanych wobec szczególnie zniechwalanych osób: jeszcze przed uśmierceniem, wycinano człowiekowi kawałki mięsa z ud, pieczono je i na jego oczach zjadano.





Młody chłopiec wraz z mamą z dumą pozuje z czaszką sąsiada z pobliskiej wsi, którego 25 lat temu zabił i zjadł jego dziadek. Prawdopodobnie w ucieleśnieniu uczestniczył wtedy ojciec chłopca. Jeśli czaszka pozbawiona jest żuchwy (szczęki uchodzą za przysmak), to prawdopodobnie należała do zabitego wroga. Czaszki członków rodziny zachowywane są z nienaruszonymi szczękami i uważane za źródło szczególnej energii duchowej.



Dżungla w kraju Kimyali.





Niewiarygodne, że w tej scenerii, jak z czasów stworzenia, ludzie mogą w ogóle przeżyć.





KOROWAJOWIE

Korowajowie to mieszkańcy podmokłej dżungli na południowy wschód od Doliny Baliem. Żyją w małych rodzinnych grupach oddalonych od siebie i zmieniających swoje siedziby co 4–12 miesięcy.

Stąd stosunkowo szybko, może nawet w tydzień – dwa, płynąc w górę rzek (jeśli tylko poziom wody na to pozwoli), uda nam się osiągnąć punkt, w którym przewodnicy i tragarze odmówią dalszych usług, niezależnie od wielkości wynagrodzenia. Kontynuowanie wędrówki skończyć się może bowiem spotkaniem z kanibalami. Najprawdziwszymi z prawdziwych. Nie znalazł się dotychczas nikt, kto by opisał tereny górnego biegu rzek, takich jak: Eilanden czy Dairam Kabur.

Dotarłem do Korowajów wyczerpaną od misjonarzy awionetką. Wylądowaliśmy w Yanirumie. Wieś ta jest osadą-lotniskiem, opuszczoną przez misjonarzy jakieś osiem lat temu. Przez osiemnaście lat z zapalem i naiwnością, jaką wykazują tylko niektórzy protestanci, głosili nomadom ewangelię pośród bagiennej, tropikalnej dżungli. Jezus był zawsze z nimi, nawet podczas lunchu. Ale jakoś nie udało im się przekonać Korowajów do osiadłego, bogobojnego trybu życia. Fakt, że poza modłami niewiele chyba mieli do zaoferowania. Nie wpadli nawet na pomysł, aby do budowy supernowoczesnej misji wykorzystać umiejętności budowlane Korowajów. Przecież zbudowanie domu o powierzchni ok. 20 m² na wierzchołku 40-metrowego drzewa jest osiągnięciem architektonicznym, szczególnie gdy używa się do tego tylko drewna. Nie zainteresowali ich również budową stawów rybnych, gdzie Korowajowie mogliby wykorzystać swoje talenty łowiecko-rybackie i łatwo wzbogacić ubogą dietę o białko.

Co gorsza, misjonarze utrudniali dostęp turystów do Yanirumy, ograniczając tym samym dopływ pożądanego przez Korowajów dóbr cywilizacyjnych – tubylcy przez to mieli mniej pieniędzy, a więc na przykład mniej siekier.

Korowajowie,
w przeciwieństwie
do mieszkańców wyżyn,
skracają pozornie penisy,
naciągając na nie
skórę moszny
i zawiązując ją tak,
że wystaje tylko kawałek
o długości 2 cm,
który owijają liściem.





Zarówno kobiety jak i mężczyźni mają wbite w nosy kolce palmy sago.
Z czasem, po ułamaniu się, zostają z nich tylko wrosnięte w ciało kawałki drewna.





Korowajowie mieszkają w chatach zbudowanych na wysokich drzewach, choć ostatnio coraz częściej również w domach na palach, sięgających drugiego piętra.

Papuasi są bardzo wyczuleni na tzw. sprawiedliwość społeczną. Widząc różnorakie dobra, które posiadali misjonarze (narzędzia, elektryczność, lodówki), a których oni nie mieli szans otrzymać, postanowili usunąć tę przeszkodę. Stracili cierpliwość dla głosicieli Słowa Bożego. Zaczęli ich zabijać i zjadać, a misjonarze zostawili wszystko i opuścili Yanirumę. Zresztą i przypadków nawróceń mieli przez te lata dosłownie kilka i to tylko w samej misji.

I stał się cud: dotychczasowi groźni kaniibale stali się miłymi, uśmiechniętymi, chętnymi do współpracy przewodnikami. Tylko ceny za ich usługi są zabójcze, przewyższają powszechnie znaną papuaską zachłanność, jakiej można doświadczyć w innych regionach. Ale chyba w ten sposób wyraża się ich pęd do cywilizacji, której nosicielami stali się turyści.

Nie wszystkich zresztą interesuje nadrabianie zapoźnień w ewolucji technologicznej. Na przykład Korowajowie Batu nic od nas nie chcą (nawet prezentów), ani też sami nic nie chcą nam dać. Nie życzą sobie żadnych, dosłownie żadnych kontaktów ani z białymi, ani nawet ze swoimi sąsiadami, którzy przezornie omijają ich z daleka. Od dziesiątków lat próby nawiązania jakichś więzi spotykają się z gradem strzał, a nagabywana rodzina porzuca swoje domostwa i znika w dżungli, zakładając gdzieś indziej nową wieś z dala od intruzów.

Korowajowie zamieszkują rozległe, bagniste obszary dżungli w rejonie rzek: Brazza, Eilanden i Dairam Kabur. Niewiarygodne, że w tej scenerii, jak z czasów stworzenia, ludzie mogą w ogóle przeżyć. Z wyjątkiem nielicznych sadzonych w pobliżu wsi bananowców i dziko rosnących palm sago, nie ma tam żadnych upraw. Nie licząc paru świń, przypadających na wieloosobową rodzinę, praktycznie nie istnieje też żadna hodowla. Przeciętna długość życia Korowaja wynosi 35 lat.

Aż dziw bierze, że ci drobni ludzie zdobyli tak złą sławę. W porównaniu z wieloma plemionami z wyżyn wydają się być przystojniejsi, gdyby nie często występujące rozległe oszpecenia, spowodowane pasożytami drążącymi spiralne kanaliki tuż pod skórą.

Tak jak inni Papuasi, Korowajowie kreują swój wizerunek, wyróżniający ich spośród innych plemion. Zarówno kobiety jak i mężczyźni wbijają sobie w czubek nosa aureolę kołców z palmy sago. Z czasem, gdy kolce połamią się, zostają po nich tylko wrosnięte w ciało końcówki drewna. Mężczyźni w przebitej przegrodzie nosowej noszą kość pewnego rodzaju wiewiórki lub ząb krokodyla. W przeciwieństwie do mieszkańców wyżyn, skracają optycznie swoje penisy, naciągając nań skórę moszny i zawiązując ją tak, że wystaje tylko kawałek długości 2 cm, który owijają liściem.

Powszechne jest wielożęństwo, przy czym bardzo często na jednego mężczyznę przypadają trzy żony. Dziewczynki wydają się za mąż nawet w wieku ośmiu lat. Mężczyźni są bardzo zazdrośni o swoje kobiety i turystom zaleca się trzymać od nich z daleka.

Korowajowie żyją na wykarczowanych w dżungli poletkach przeciętnie około czterech miesięcy, nie dłużej niż rok. Po zasadzeniu bananowców, najczęściej już po pierwszym zbiorze, przenoszą się w inne miejsce, wykorzystując fakt, że podstawa ich wyżywienia – palma sagowca, z której miąższu uzyskują mąkę – rośnie dziko w wielu rejonach dżungli.

Podpłomyk z sago smakuje trochę gumowato, co jest wynikiem braku jakichkolwiek przypraw, nie mówiąc już o jajkach. Palma sago służyć może również do uzyskania cennego białka. Zamiast wyplukiwać z jej rozbitego

miąższu mąkę, należy pozostawić ścięte drzewo na mniej więcej miesiąc. Przez ten czas w jego szczelinach legną się larwy z jaj pewnego gatunku motyla. Ten nieładny przysmak zjada się na surowo lub piecze w ogniu – wówczas smakuje jak kurczak. Larwy są cenne nie tylko jako źródło białka, lecz również dlatego, że stanowią ekwiwalent tygodniowego zapasu mąki dla ośmioosobowej rodziny. Nic więc dziwnego, że człowiek złapany na kradzieży tych robaków nie może liczyć na litość – raczej ma szansę sam zawędrować do garnka. Dietę uzupełniają ryby i raki – Korowajowie doskonale posługują się harpunem i łukiem, są również świetnymi pływakami.

Mieszkają w chatkach wybudowanych na wysokich drzewach (25–40 metrów), choć ostatnio coraz częściej również w domach na palach, sięgających wysokości drugiego piętra.

Wieś składa się najczęściej z dwóch domów i chaty na ziemi pełniące rolę kuchni, chociaż gliniane paleniska są również we wszystkich domach na drzewach. Dom zamieszkuje jedna rodzina. Jest on niemiłosiernie zakaruszony. Usytuowanie domostw na drzewach ma szereg zalet. Jest to bezpieczne – wojny plemienne dotyczą również Korowajów. Na takiej wysokości panuje znacznie mniejsza wilgotność – lepiej się śpi, a w okresie permanentnej właściwie pory deszczowej jest tam sucho. Jest również znacznie mniej insektów, w tym, co najważniejsze, malarycznych komarów.

Osady oddalone są od siebie o przynajmniej dzień wyczerpującego marszu dżunglą. Przy często padających deszczach wędrówka może odbywać się w wodzie po pas. Dodatkową trudność stanowi pokonywanie płataniny korzeni i powalonych pni. Wszystko to razem przypomina raczej tor przeszkód dla marines, a nie drogę w lesie, do jakiej jesteśmy przyzwyczajeni. Deszcz, duży stopień wilgotności powietrza, upał, błoto i komary – to codzienność trekkingu w okolicach Yanirumy. Powszechnie zalecane zewnętrzne środki antymalaryczne na nic się nie zdadzą – w kilka minut spływają wraz z falami potu.

Zresztą bardzo szybko robi się wszystko jedno, przestaje się myśleć o komarach, węzach i innych zagrożeniach. Ważne, żeby iść naprzód. I jeszcze ważniejsze – żeby się nie potknąć, czy nie spaść z omszałego pnia. Nawet zwinięta noga, nie mówiąc już o złamaniach, może być początkiem bardzo głupiego końca. Przecież nikt nas stamtąd nie wyniesie na plecach, chyba że nieszczęście przytrafiło się blisko Yanirumy. I to właśnie nieustające napięcie jest jeszcze jedną niezapomnianą atrakcją wyprawy, która będzie śnić się nam po nocach.



Domy na drzewach są przewiewne, suche i bezpieczne.





Korowajowie
świetnie sobie radzą
z wchodzeniem
po pionowym słupie
do chaty zbudowanej
na wysokości
drugiego piętra.
Ja wolałem raczej
wspinaczkę
po drabinie z liany
do domów
na dwudziestometrowych
drzewach.
Zwłaszcza, że po deszczu
pionowy słup
był śliski jak lód.



Takie dłubanki mogą pomieścić 3–4 osoby i ok. 30 kg bagażu.
Są ciężkie i wywrotne. Przy dużym obciążeniu burta wystaje
tylko kilka centymetrów ponad linię wody.



Z pnia
drzewa
wyłoniła się
dłubanka.





W dżungli można upolować kazaura – ptaka niełota podobnego do strusia.
Osaczony potrafi zadać śmiertelne rany ostrogami swoich bardzo silnych nóg.



Polowanie na ryby...

... i na ptaki. W głębi zamaskowana kryjówka, z której myśliwy wypatruje zdobyczy.





Paprocie na bagnach.



W pierwszej fazie produkcji sago
obnaża się wnętrze pnia
i rozbija miąższ drzewa.



Kluczowym momentem pozyskiwania mąki z palmy sago jest wyciskanie wody z namoczonego miększu drzewa. W niej właśnie zawarty jest osad sago.





Podpłomyki z sago są podstawowym pożywieniem Korowajów.



Palma sago może służyć również do uzyskania cennego białka.
Należy pozostawić ścięte drzewo na mniej więcej miesiąc,
aż w jego szczelinach z jaj pewnego gatunku motyla wylęgną się larwy.
Ten nie lada przysmak zjada się na surowo lub piecze w ogniu.





Korowajów często szpecą rozległe złuszczenia skóry spowodowane pasożytami. Drążą one spiralne kanaliki tuż pod skórą.





Zwarte ściany zieleni strzegą dostępu w głąb dżungli.



DANI

Dani, liczący obecnie około 100 000 osób, zamieszkują Dolinę Baliem. Mężczyźni tego plemienia noszą wąską, długą kotekę. Znani są ze swojej wojowniczności, z urządzanych jeszcze 20 lat temu rytualnych wojen, w których uczestniczyło po każdej stronie 100–200, malowniczo ukształtowanych wojowników. Jedno z lepiej poznanych plemion Irian Jaya, a jednocześnie jedni z najwytrwalszych stróżów tradycji. To oni wygrali „wojnę o kotekę”, gdy rząd indonezyjski usiłował zmusić ich do noszenia spodni. Oni także oparli się próbom zamiany tradycyjnych chat na blaszano-betonowe domki.

W latach siedemdziesiątych rząd próbował skłonić Danich do zamieszkania w domach wybudowanych z cegły i betonu, argumentując, że wypełnione gęstym, duszącym dymem tradycyjne chaty są niezdrowe. Okazało się jednak, że drewniane, kryte strzechą chaty lepiej spełniały swoją funkcję. W dzień (przy temperaturze ponad 30°C) nie nagrzewały się tak, jak betonowe domy, a w nocy (około 12°C) lepiej chroniły od zimna. Ognisko w chacie nie tylko ogrzewa. Jego dym bardzo skutecznie chroni przed inwazją insektów, wobec których współczesne domy są zupełnie bezbronne. W końcu Dani pozostali w swoich chatach, a nowo wybudowane betono-błaszaki przeznaczyli na chlewy i pomieszczenia gospodarcze.





Dolina jeziora Habbema. Wodorosty i bagienna roślinność wokół jeziora.





Wiszące mosty uplecione z lian i gałęzi to często jedyna możliwość przejścia przez rwące rzeki.
Osady w okolicach miejscowości Tangma.





Założenie pierwszej *koteki* jest jedną z najważniejszych inicjacji chłopców wprowadzającą ich w świat mężczyzn.



Drumlę zawsze nosi się przy sobie.

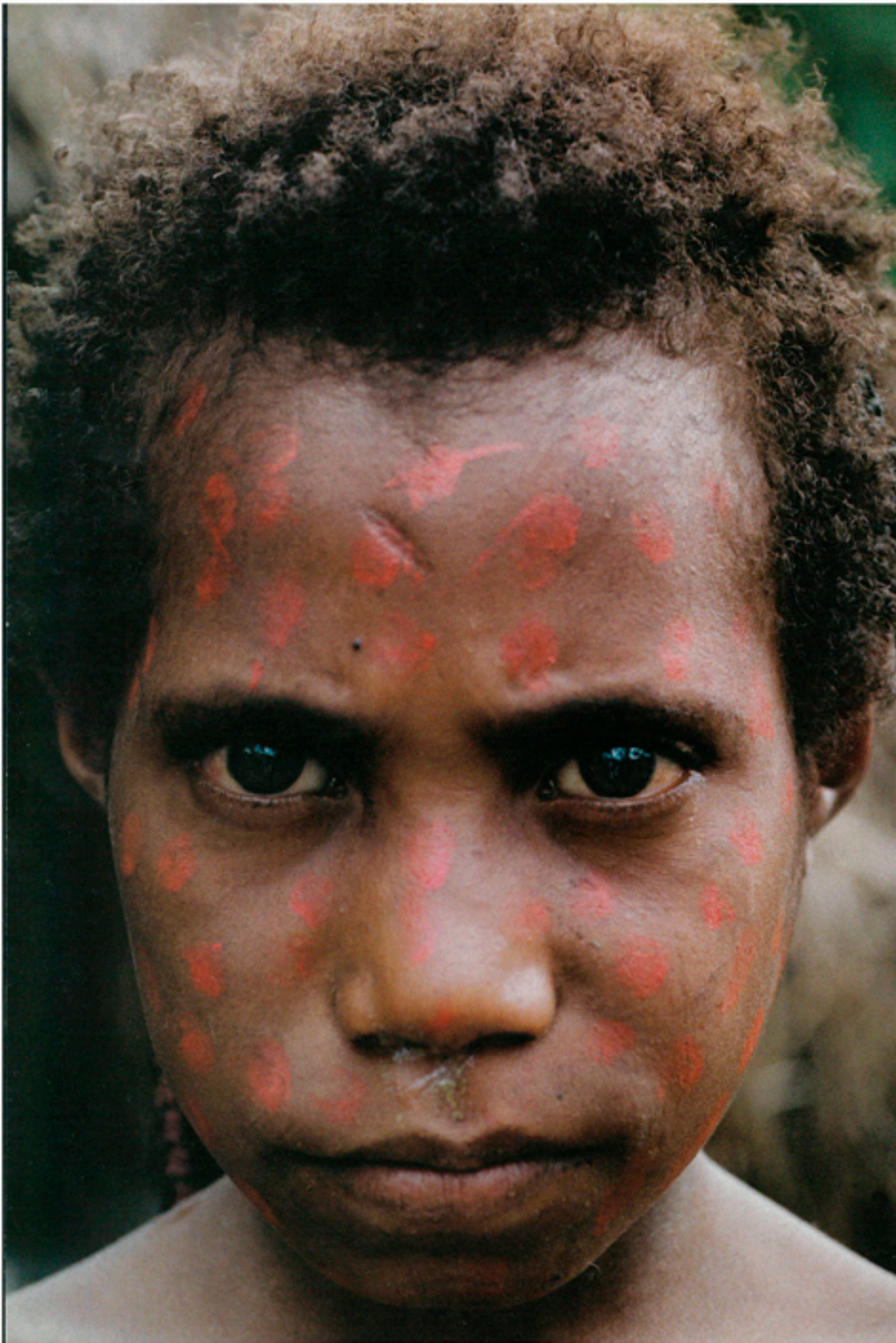


W przekłutą przegrodę nosową wkłada się kły świni.
W zależności od położenia mogą oznaczać pokojowe bądź wojownicze nastawienie.



Wieś w okolicach miejscowości Magi.





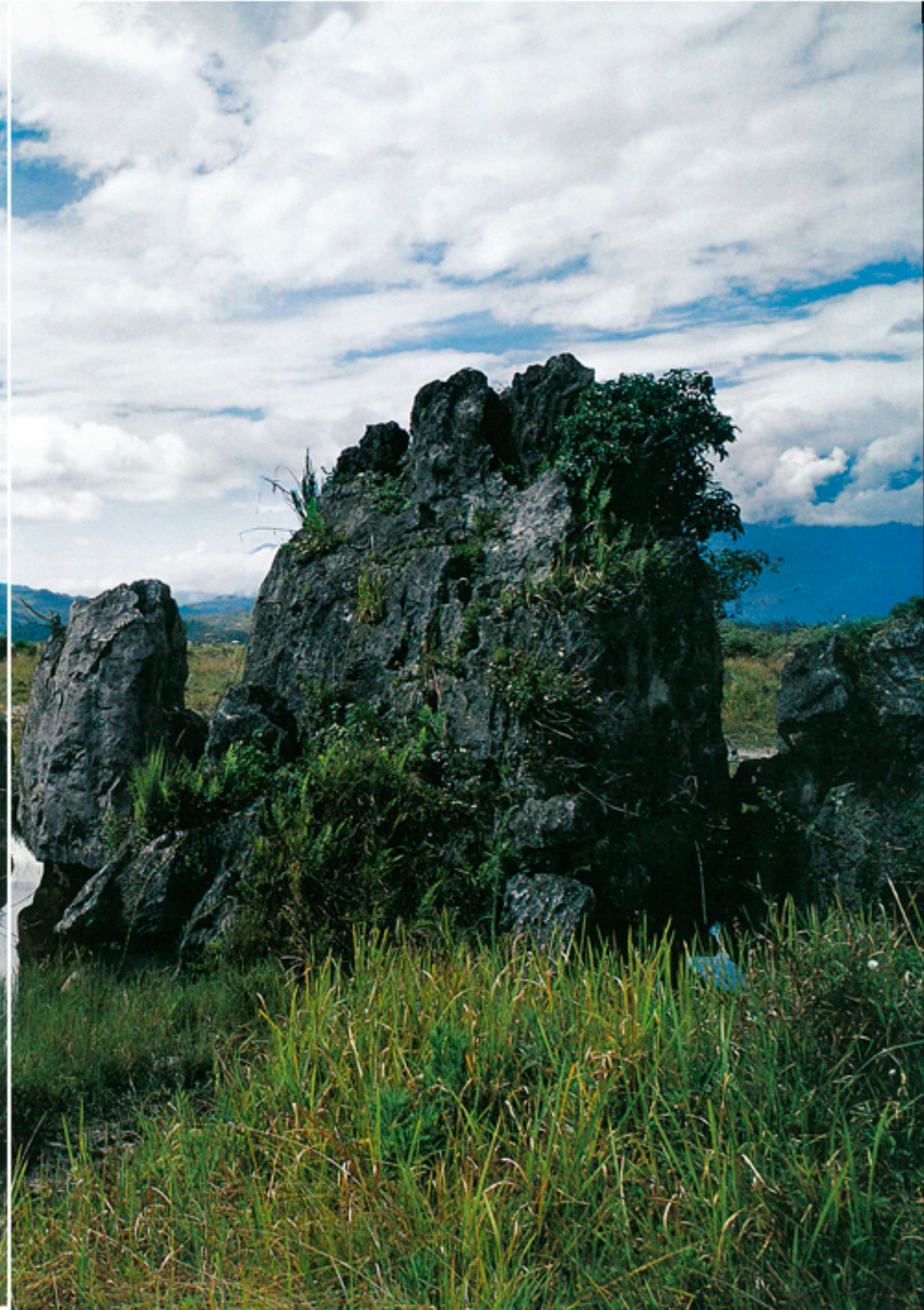
Jeszcze do niedawna istniał zwyczaj obcinania sobie części palców
na znak żałoby po śmierci bliskiej osoby.



Wspólna wszystkim plemionom papuaskim jest miłość do świń.
Zwierzę to bywa karmione przez kobiety piersią.



W społeczeństwie Papuasów wszelka praca twórcza
wiążąca się z różnorodnością, ryzykiem i niebezpieczeństwem,
czyli ze wszystkim tym, co dodaje życiu barw, przypada mężczyznom.
Życie kobiet to świat mozolnej rutyny zawężonej do granic
gospodarstwa domowego i pracy na roli.





WÓDZ

Wśród licznych szoków cywilizacyjnych, jakich doświadczyli Papuasi, najdotkliwszym, oprócz zakazu prowadzenia wojen, było zetknięcie się z obcym im typem przywództwa. W dodatku ci, którym musieli się podporządkować, byli ich okupantami.

Wódza Papuasów nie wybiera się przez głosowanie, nie dziedziczy on tego tytułu po kimś, nie wydaje nikomu rozkazów, nie ma żadnej władzy wykonawczej pozwalającej siłą narzucić swoją wolę komukolwiek. Niemniej posiada ogromny, niekwestionowany autorytet i podobno nie zdarza się, żeby jego decyzje nie były wykonywane. Wykorzystuje go tylko w nagłej potrzebie, czy chwilach zagrożenia. Gdy problemy zostaną rozwiązane, powraca do pozycji zwykłego członka plemienia. Nie zdarza się, żeby mieszkał w lepszej chacie, czy różnił się bardziej wyszukany strojem.

Wielowymiarowość życia plemiennego dyktuje potrzebę posiadania wielu wódzów, z których każdy odznaczył się wybitnymi uzdolnieniami i osiągnięciami w danej dziedzinie. A więc jest wódz wioski, wódz klanu, wódz tradycyjnych obrzędów, wódz płodności ziemi oraz najważniejszy z nich – wódz wojny. Rozdział kompetencji powodował, że nie wykształcił się żaden system władzy centralnej.

Wódz – zwany w języku Dani *kain* – wybierany jest na wspólnym zebraniu, w wyniku ustnych rekomendacji każdego mężczyzny danego klanu, społeczności czy plemienia. Ponieważ kandydat musi być i jest powszechnie uznaną, wybitną osobowością, wybór jest oczywisty dla wszystkich i akceptacja kandydatury odbywa się bez żadnych manipulacji. *Kain* musi być kompetentny w danej dziedzinie, a jego wiedza musi być uznana przez całą społeczność. Oczywiście wódz może być uzdolniony w wielu dziedzinach i w ten sposób poszerzać zakres swojego przywództwa.

Wódcowie mogą chcieć, żeby ich dzieci dziedziczyły ich tytuły w przyszłości. Mają one nawet taką szansę, gdyż od początku mogą uczyć się wielu



rzeczy i być zaangażowane w rytuały odprawiane przez ojców. Ale ostatecznie decydują potwierdzone wobec plemienia rzeczywiste umiejętności kandydata.

Szczególnie dotyczyło to wodza wojny (zanim wprowadzono zakaz walk plemiennych) – jego syn musiał mieć na swoim koncie wielu zabitych wrogów. Takemu człowiekowi można było zaufać. Jednocześnie unikano kogoś, kogo cechowała żądza krwi i kto popisywał się swoją brutalnością.

Aby być wpływowym, szanowanym przez ludzi kainem, aby mieć poparcie, dające rzeczywistą władzę i siłę, wódz powinien:

- umieć dzielić się swoim majątkiem;
- mieć zawsze czas, aby służyć i pomagać wszystkim (jego dom musi być zawsze otwarty dla wszystkich);
- musi podejmować trafne decyzje nawet w niebezpieczeństwie;
- musi być dobrym, charyzmatycznym mówcą, mieć odwagę przeciwstawiać się oponentom na wiecach i wygrywać debatę z nimi;
- musi być uczciwy i szczery w każdej sytuacji;
- pewny siebie, ale skromny i nie wynoszący się ponad innych;
- musi mieć szeroką wiedzę i umieć dawać ludziom rady zarówno w zakresie stosunków międzyludzkich, jak i otaczającej przyrody.

Oprócz tych wszystkich umiejętności wódz powinien mieć dar leczenia chorych, przepowiadania przyszłości i być medium w kontaktach z duchami przodków.

Wodza można zmienić bez formalnych wyborów, bez oficjalnych oświadczeń, bez żadnej ceremonii wprowadzającej jego następcę. Po prostu ludzie zauważają, że ktoś inny jest bardziej inteligentny, zdolniejszy, ma większe osiągnięcia i niejako automatycznie uzyskuje ich uznanie i akceptację – więcej osób go słucha.

W przeszłości – trudno powiedzieć jak odległej, gdyż pamięć Papuasów nie sięga dalej niż trzy pokolenia wstecz (wiele osób nawet nie wie ile ma lat) – zwłok wybitnych wodzów nie kremowano, lecz mumifikowano. Podobno dwie osoby, nie wychodząc z chaty przez pięć lat, wędziły zwłoki nad ogniskiem. Potem mumia przechowywana była w domu mężczyzny.

Obecność mumii wyróżniała nie tylko dany klan spośród innych, ale przede wszystkim zapewniała łączność ze światem przodków i była widomym gwarantem ich opieki nad żywymi.

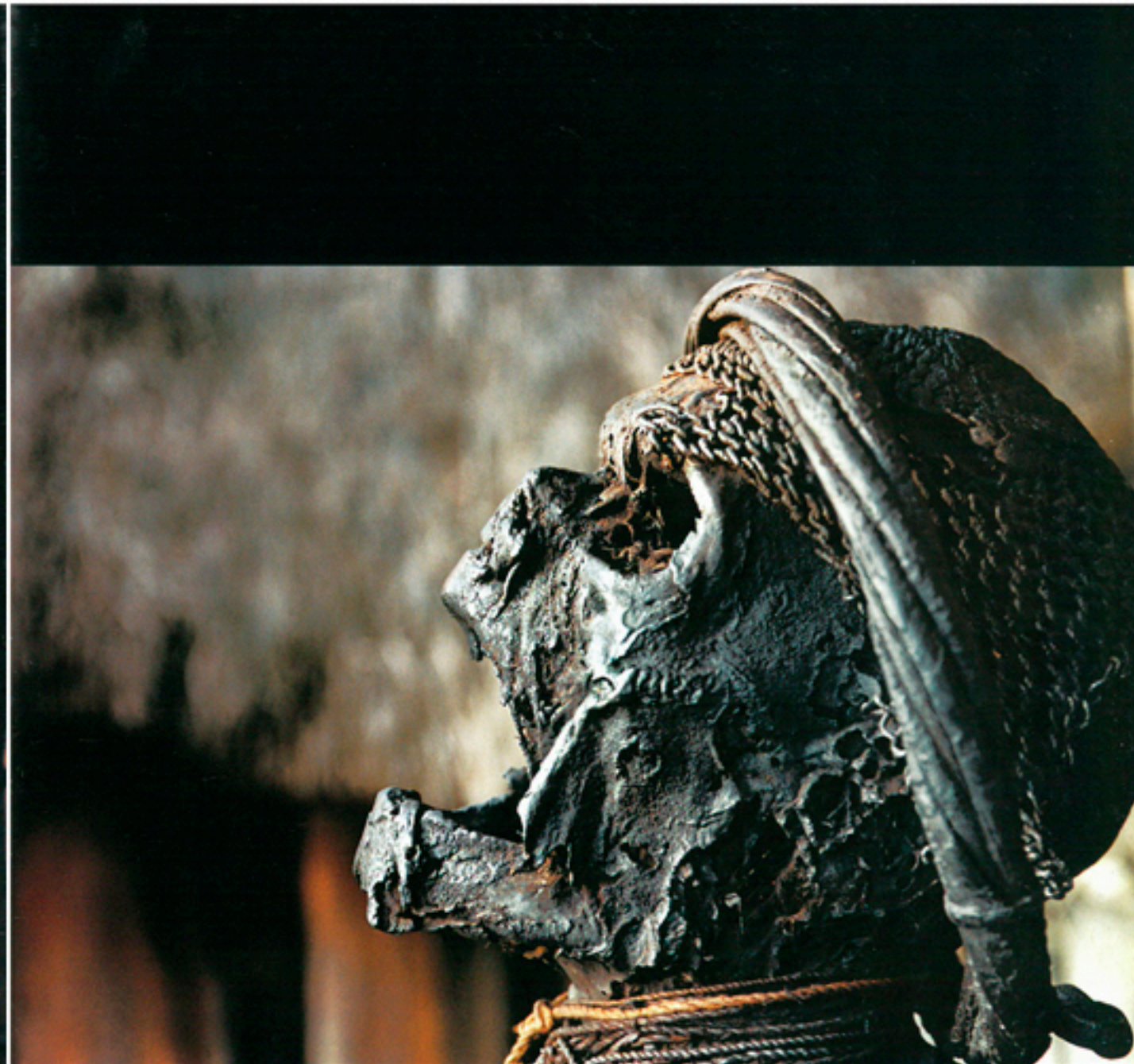
Nie wiadomo dlaczego, chyba jeszcze przed przybyciem misjonarzy, Papuasi z wyżyn przestali mumifikować swoich wielkich zmarłych. Może nie pojawił się nikt równie znamienity jak poprzednicy? W każdym razie nie słyszano nigdy żadnego wyjaśnienia w tej sprawie. Do dzisiaj zachowało się zaledwie kilka mumii liczących podobno od 250 do 350 lat, choć żadne badania nie weryfikowały ich wieku.

Część mumii po prostu rozpadła się, ale prawdziwa ich zagłada nastąpiła z chwilą wkroczenia armii i policji indonezyjskiej do Irian Jaya. Żołnierze tzw. „pierwszego rzutu” specjalnie wyszukiwali mumie będące obiektami kultu, niszczyli je lub przewozili z miejsca na miejsce. Jak mówią świadkowie, na posterunkach policji używano ich nawet jako wieszaków do hełmów i czapek. Nietrudno sobie wyobrazić zgrozę i poniżenie Papuasów, którzy byli świadkami tej profanacji.





Mumia wybitnego wodza wojny
Werepaka Elosareka we wsi Akima.
Podobno potrafił w walce zabić
15 wojowników jednego dnia.
Zginął w wyniku zakażenia rany
na plecach.



Mumia wodza Wimintoka Mabela we wsi Jivika.
Posiadanie zmumifikowanych zwłok wodza
jest dumą i niebywałym wyróżnieniem dla rodziny
pośród całego plemienia.



RYTUALNE WOJNY PLEMIENNE

Wojny od zawsze nadawały sens życiu plemiennemu Papuasów, podporządkowując sobie wszystkie pozostałe jego aspekty. Już od najmłodszych lat chłopcy przygotowywani byli do roli profesjonalnych wojowników. I nawet obecnie, gdy pod naciskiem kolonizatorów holenderskich, misjonarzy, a potem władz indonezyjskich zaprzestano prowadzenia rytualnych wojen, dzieci nadal są szkolone do walki poprzez różnego rodzaju gry zespołowe i manewry. O tym, że gry te zawierają elementy prawdziwej wojny świadczą ciężkie rany (wybite oko, zdeformowana, bezwładna kończyna), a nawet śmierć kogoś z uczestników.

Nabyte tam umiejętności przydają się nie tylko na polowaniu, czy do wyłonienia przyszłych przywódców, ale nadal pomocne są w prawdziwych, potajemnie toczonych walkach.

Ostatnia wojna na większą skalę odbyła się w 1988 roku i zginęło w niej 15 wojowników, a kilkudziesięciu zostało rannych. Walki międzyplemienne, czy między klanami, wybuchają nadal szczególnie w okolicach oddalonych od ośrodków cywilizacji (np. misji) oraz posterunków policji. Nadal także używane są w nich, oprócz żelaznych siekier, drewniane dzidy długości do 4 metrów oraz łuki i strzały o wymyślnie rzeźbionych długich grotach (45 cm) z licznymi zadziornymi. Mają one zadać jak najwięcej bólu oraz przstraszyć przeciwnika wizją bolesnej śmierci.

Walki te nie obejmują, tak jak dawniej, konfederacji wielu klanów czy plemion. Są to raczej sąsiedzkie porachunki w formie małych potyczek, nagłych wypadów lub zasadzek, pozbawionych dawnej chwały i widowiskowości. Uczestniczy w nich maksymalnie po dwadzieścia osób z każdej strony. W rajdach tych częstymi ofiarami stają się kobiety i dzieci, bo chodzi w nich tylko o zbilansowanie wzajemnych strat, zgodnie z zasadą „życie za życie”.

Papuasi walczą, bo tak chcą – marzą o tym od dzieciństwa. Walczą – bo jest to konieczne. „Rytualność” wojen oznacza, że muszą one odbywać się



regulaminie i że są nie do uniknięcia. Rozpoczynając wojnę, nie przewiduje się jej zakończenia (możliwe są tylko okresowe chwile pokoju), tak jak niemożliwym jest zaprzestanie upraw ogrodów, czy zaniechanie kultu przodków. Nie chodzi również o zaanektowanie czyjejś ziemi, zdominowanie kogokolwiek, różnice polityczne czy religijne. Nie chodzi nawet o zniszczenie wroga (tak jak to robiły niektóre plemiona indiańskie). Chodzi o przywrócenie stanu równowagi, w tym również o wyrównanie poprzednich strat. Dochodzimy tutaj do największego paradoksu systemu wierzeń Papuasów, szczególnie tych z wyżyn. Silna więź emocjonalna z przodkami, marzenia o powrocie do raju, pokoju i harmonii, kreują i podtrzymują nieustanne napięcia i wojny.

Od czasów zamordowania mitycznego nauczyciela – dobroczyńcy zaplanował wśród ludzi chaos i podział na wrogie ugrupowania. Każdy sąsiad, a tym bardziej każde obce plemię, mówiące innym, niezrozumiałym językiem, stanowi zagrożenie, które już samo przez się zakłóca spokój i harmonię. Dlatego, żeby przywrócić spokój i wieść „dobre życie” przodków, trzeba usunąć to zagrożenie, czyli prowadzić wojnę, która nie tylko trzyma wroga z dala, ale również umacnia prestiż plemienia zarówno we własnych oczach, jak i wobec otaczających go ludzi. Jednocześnie wojny pomagają upamiętnić i pomścić własnych zabitych.

Śmierć z ręki wroga jest wydarzeniem zagrażającym powodzeniu całej społeczności. Wywołuje tak wielki niepokój duchów zmarłych, że nie spoczną one, póki nie otrzymają należytej satysfakcji ze strony żyjących krewnych zabitego. Dla Papuasa nie ma rzeczy straszniejszej, niż zignorowanie żądań niepomszczonych duchów bliskich, które dotąd będą nękać żywych różnymi nieszczęściami, aż zemsta zostanie dopełniona. Chęć zjednania przychylności duchów, zarówno dobrych jak i złych, które są dosłownie wszechobecne i kontrolują życie ludzkie na wszelkich możliwych poziomach, oraz nieustanny dialog z tymi siłami stanowi o istocie życia plemiennego. Nic więc dziwnego, że materialne przyczyny wojen wydają się nam błahe: kradzież świni, kobiety czy walka o najczęściej niewielki skrawek ziemi uprawnej. Najważniejsze jest, żeby ciągle walczyć!

Wojny były nie tylko okazją do wykazania się odwagą i umiejętnościami, ale także dawały możliwość zademonstrowania fantazyjnych makijaży pokrywających całe ciało oraz strojów z piór – każdy klan ma jakiegoś ptaka, który uznany jest za kuzyna rodu. Ze względu na owo wyrafinowanie strojów wojennych, walki były natychmiast zawieszane jeżeli zaczynał padać deszcz. Mógł on również wygasić ogień walki, który wojownicy starali się rozpalić w sobie przed bitwą za pomocą różnych magicznych rytuałów.

Władze indonezyjskie zakazały prowadzenia rytualnych wojen, lecz jednocześnie, starając się wykorzystać papuaskie przywiązanie do tradycji i zainteresowanie turystów, organizują coroczne pokazy wojen „na niby”. Największy taki festiwal odbywa się na początku sierpnia w okolicach Wameny. W samym mieście można cały czas spotkać jeszcze niedawno groźnych wojowników w strojach wojennych, którzy żebrzą o zrobienie im zdjęcia za pieniądze. Ich wygląd zupełnie nie przystaje do obecnej, nędznej rzeczywistości, w której się znaleźli.

„Walki na niby” można zresztą zainscenizować samemu za odpowiednią opłatą. Papuasi uwielbiają je i są w nich bardzo sugestywni. Mogłem się o tym osobiście przekonać, organizując parę takich sesji dla potrzeb fotograficznych, gdzie w małej potyczce uczestniczyło po dziesięciu wojowników z każdej strony. Przy jednej z takich inscenizacji, fotografując i przechodząc co chwila





z jednej walczącej strony na drugą, zauważyłem, że atmosfera staje się coraz bardziej gorąca, aktorzy doskonale wczuli się w swoje role, a ostrza dzid pojawiały się coraz częściej i bliżej mego ciała. Zabawę przerwał mój przewodnik.

Łatwo można sobie wyobrazić atmosferę bitew, w których uczestniczyło około dwustu wojowników po każdej stronie – takie wojny toczono były jeszcze regularnie w latach sześćdziesiątych. Dziennie odbywało się wtedy 10–20 potyczek trwających nie dłużej niż 15 minut. Tyle czasu trwały wzajemne podchody i pozorowanie ataku poprzedzające nagłą wymianę rzutów dzidami lub ostrzał z łuków.

Dzida była (i jest nadal) bardzo cennym przedmiotem, dla którego drzewo trzeba było ściągać aż z terenów plemienia Yali. Dlatego rzut dzidą starano się wykonać z odległości nie większej niż 15 metrów, co stanowiło optimum między celnością (trudność uniku) a własnym bezpieczeństwem. To samo dotyczyło strzał, dla których ten dystans był optymalny. Wojownicy musieli więc być w ciągłym ruchu i wykazywać niewiarygodną zręczność, refleks i koncentrację uwagi.

Często walki zawieszano, gdy padł pierwszy zabity. Wiazało się to zarówno z koniecznością odprawienia obrzędów pogrzebowych, jak również obrzędów magicznych, mających odstraszyć od zwycięzcy żadne zemsty duchy spokrewnione ze zmarłym.

Rannego, jeśli to było możliwe, starano się przenieść na tyły w bezpieczne miejsce i po opatrzeniu ran odtransportować do jego wioski. Przy czym rany dodatkowo maskowano zielenią, bo widok krwi mógł ściągnąć złe duchy. Dlatego po udzieleniu pomocy wojownika zostawiano samego. Cierpiąc w samotności, musiał on ochronić sam siebie od wpływu złych mocy. Ewentualna śmierć następowała najczęściej wskutek rozwinięcia się zakażenia rany.



Dani uwielbiają
inscenizowane
„walki na niby”
i są w nich
bardzo sugestywni.



Parędziesiąt lat temu wieże obserwacyjne
umieszczone były wzdłuż granic terytorialnych
poszczególnych klanów i plemion.
Wznosiły się jedna obok drugiej
w zasięgu ludzkiego głosu.
Dodatkowo stały w pobliżu wsi,
zabezpieczając mieszkańców
przed niespodziewanym atakiem.





ŚMIERĆ I POGRZEB

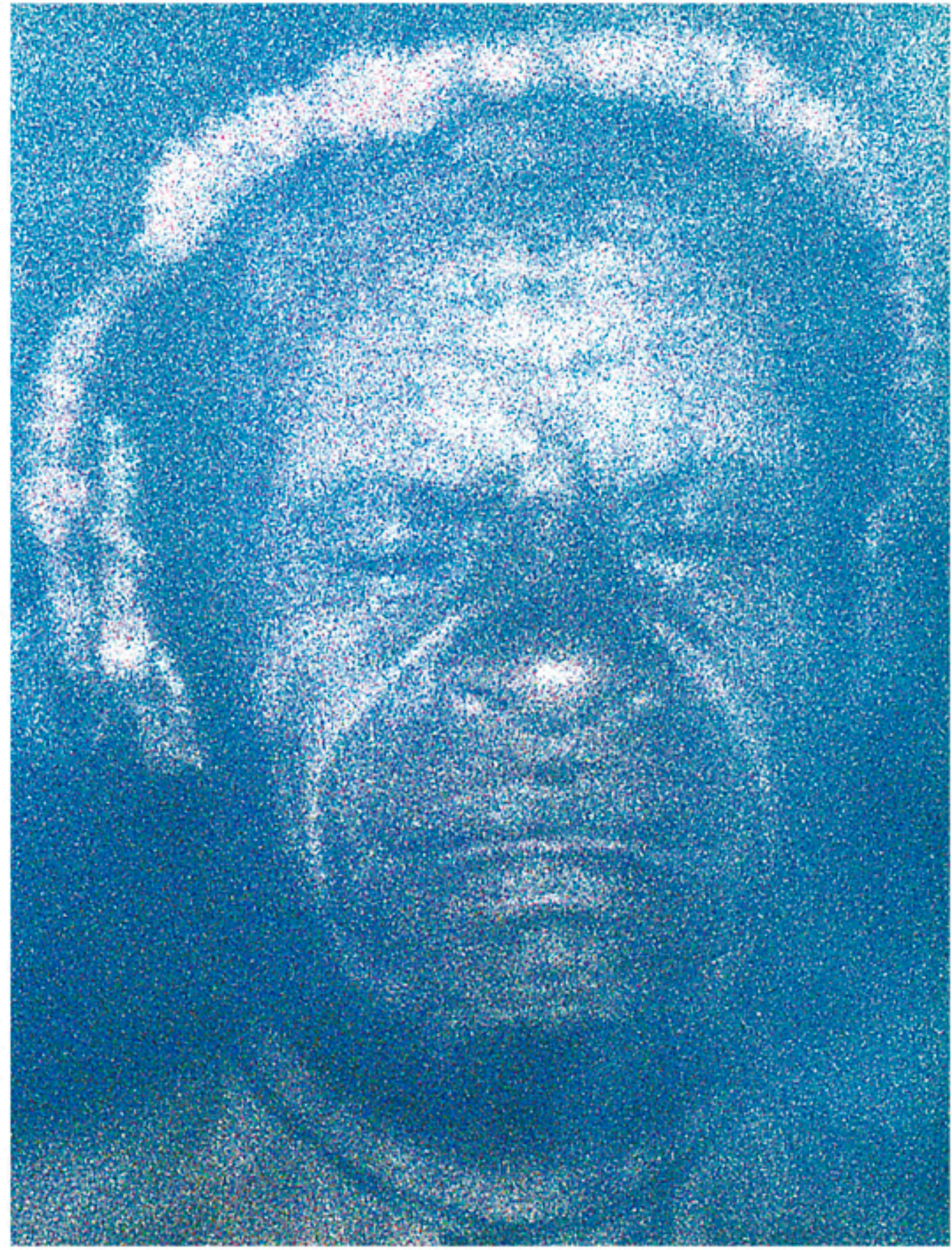
W świecie wierzeń Papuasów nie istnieje śmierć z przyczyn naturalnych, gdyż zawsze stoi za nią jakiś duch albo człowiek. Z duchem należy się ukladać albo przebłagać go, a człowieka – rzekomo odpowiedzialnego za czyjąś śmierć – należy wskazać, znaleźć i zabić.

Śmierć jest wstrząsem dla całej społeczności. Prawie zawsze śmierć mężczyzny jest ważniejsza od zgonu kobiety. Szczególnego znaczenia nabiera śmierć w wyniku ran odniesionych w walce. Inaczej również wygląda pogrzeb wodza, a inaczej – mniej okazałe – zwykłego człowieka.

Kremację urządza się pierwszego dnia po śmierci. Jeśli śmierć nastąpiła w nocy, wówczas ceremonia może się odbyć wczesnym popołudniem, jak tylko zbierze się najbliższa rodzina. Jak wszystkie uroczystości rytualne (narodziny, nadanie imienia, małżeństwo, inicjacja itp.), pogrzeb jest okazją do dużego świniołobicia. Zwierzęta przynoszone są razem z innymi darami (warzywa, narzędzia, naczynia, siatki) przez uczestników ceremonii, pragnących w ten sposób wyrazić swój szacunek zmarłemu. Im bliższe pokrewieństwo żałobników, tym bardziej okazałe prezenty.

Uroczystość trwa zwykle 4 dni i bierze w niej udział kilkaset osób, wśród których rodzina zmarłego rozdaje przyniesioną przez gości żywność oraz prezenty. Gdy taki ponownie darowany przedmiot jest dużo niższej wartości niż przyniesiony prezent, wówczas przy najbliższej, organizowanej co parę lat uroczystości „wielkiego obdarowywania się i rozdawania” lub przy innej okazji, ten kto przyniósł cenniejszy prezent otrzyma wyrównanie swojej straty.

Ceremonia pogrzebowa odbywa się wewnątrz zagrody zmarłego, gdzie schodzi się cała rodzina i znajomi. Na widok kolejnych nadchodzących gości, dotychczas zebrani żałobnicy powstają i zaczynają płakać. Zwykle ktoś z nowo przybyłych, także płacząc, zaczyna wychwalać zmarłego. Jego najbliżsi krewni, cali we łzach, pocierając dłonie lub uda, powtarzają chórem słowa pochwały.





Na znak żałoby
kobiety
z najbliższej
rodziny zmarłego,
a czasami również
mężczyźni,
pokrywają twarz
błotem.



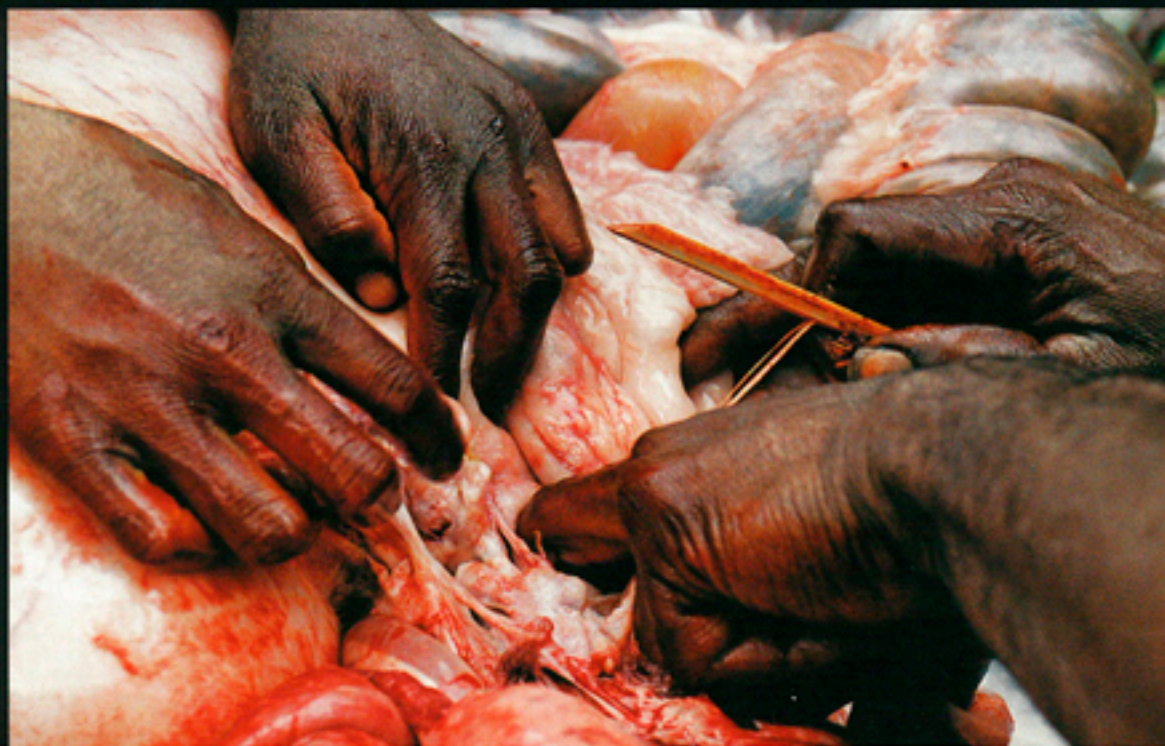


Powtarzający się zbiorowy lament żałobników
potwierdza wypowiedane głośno zalety zmarłego.





Jak wszystkie uroczystości rytualne, pogrzeb jest okazją do dużego świniobicia.
Mięso najczęściej rozcina się ostrymi jak brzytwa kawałkami bambusa.



Gdy zbiorą się już najważniejsi goście, rozpoczyna się świniobicie. Świnie należące do zmarłego też są przeznaczane na podarki i na spłatę długów.

Mięso, upieczone tradycyjną metodą w dołach z rozgrzanymi kamieniami, dzieli się równo między wszystkich gości. Nikt nie je, dopóki jego sąsiad nie otrzyma należnej mu porcji. Przy okazji uczestnicy ceremonii nacierają sobie ciała świńskim tłuszczem. Jest to nie tylko zabieg kosmetyczny ale raczej – wedle papuaskich kanonów – upiększający. Nie jest to tylko czynność uważana za zdrową. W tym wypadku jest to również zabieg rytualny mający zapewnić zdrowie i szczęście uczestnikom ceremonii, a także oddać cześć duchom przodków i odpędzić złe moce.

Tłuszczem świni naciera się również ciało nieboszczyka. Uprzednio przytyka się do niego małą świnkę, na którą mają przejść wszelkie złe uczynki zmarłego. Jest to ostatni moment, w którym o zmarłym można powiedzieć coś złego. Tym rytuałem społeczność go rozgrzesza. Pogodzony z żywymi, zostaje odprowadzony w zaświaty. Na ziemi nikt już nie będzie czuł do niego żadnej urazy, jak również każdy będzie miał nadzieję, że tak potraktowany nieboszczyk nie będzie miał żadnych pretensji do niego.

Najbliżsi krewni zmarłego odprowadzają jeszcze jeden rytuał, polegający na nadgryzaniu i wypluwaniu (dla duchów) kawałka trzciny cukrowej i słoniny podawanych na liściu bananowca. Ma to zapewnić, że od tego momentu nikt w tej rodzinie już nie umrze.

Pierwsza wspólna uczta trwa krótko, po czym przy wtórze płaczu kobiet najbliżsi krewni zanoszą ciało na błyskawicznie ułożony i już płonący stos. W miarę jak rosną płomienie, płacze stopniowo ustają i Papuasi wyglądają na pogodzonych ze stratą zmarłej osoby. Spalone kości zmarłego zbierane są następnego dnia rano i zakopywane za domem mężczyzn.

W nie tak dawnych czasach, po kremacji, obcinano dzieciom z najbliższej rodziny zmarłego kawałek palca i spalano go w tłących się popiołach stosu. Najczęściej dotyczyło to dziewczynek. Amputacji dokonywano zaostrzonym kamiennym tłukiem. Aby zmniejszyć ból, obwiązywano palec u nasady, aż zaczął drętwieć. Tuż przed amputacją uderzano dziecko silnie w ramię, aby odwrócić jego uwagę od bólu w palcu. W taki właśnie sposób stracił palec mój 35-letni przewodnik – za wujka.

Jak wyglądają papuaskie zaświaty? Dobrze i nieokreślenie. Na pewno nie ma w nich żadnych kar. Nie ma podziału na niebo i piekło. Jest za to dużo jedzenia i dużo świń. Panuje równowaga, spokój i harmonia. Misjonarze mieli trudności ze straszeniem Papuasów piekłem, gdyż tubylcom, nękanym nocnym góskim chłodem, podobano się wizja siedzenia w cieple bez konieczności codziennego chodzenia po drewno.



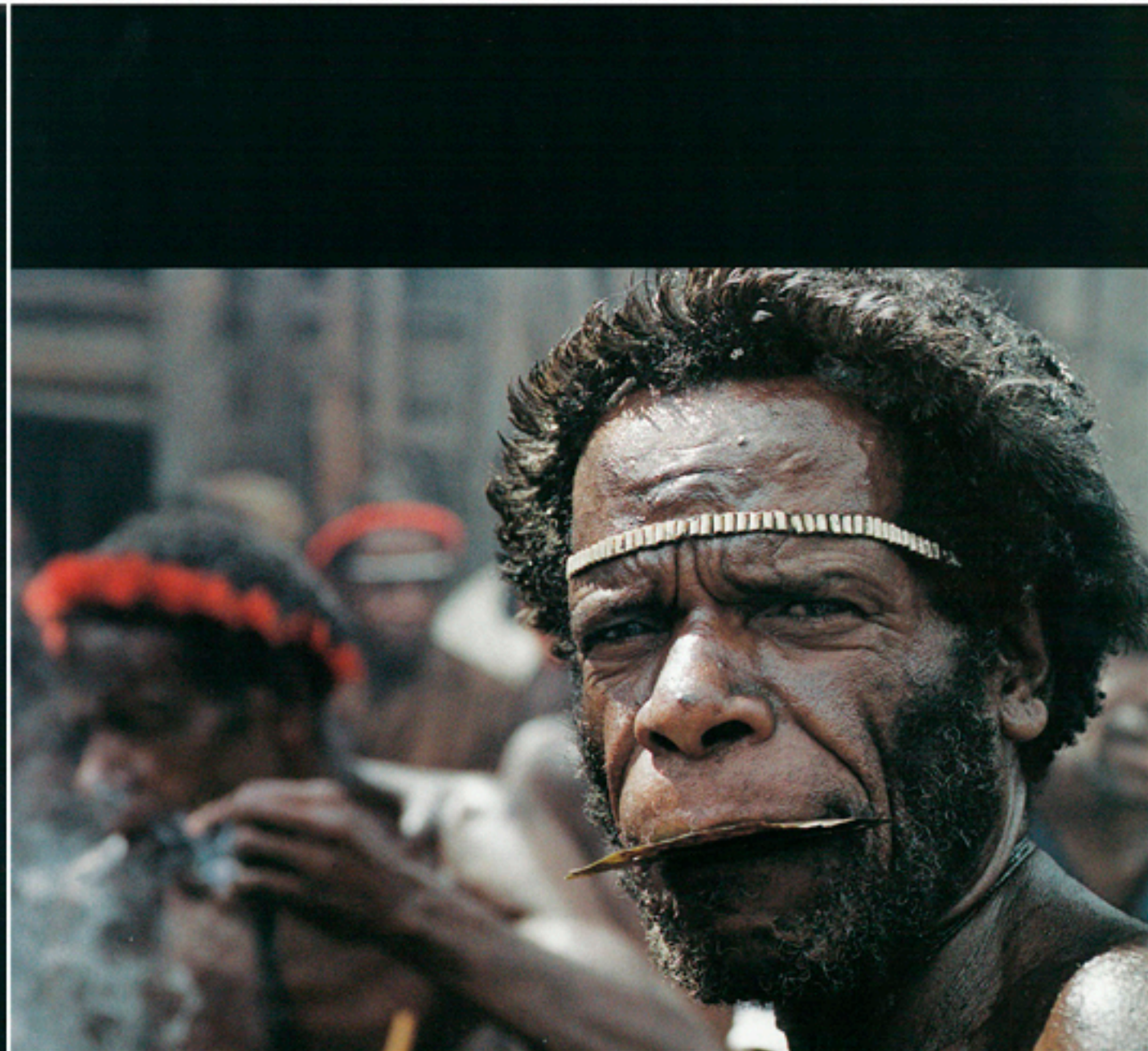


Tłumy gości czekają na upieczone mięso.





Siedzące oddzielnie kobiety
obserwują przygotowania do rytualnej uczty.



Zwilżony śliną suchy liść tytoniu
zostanie użyty do skręcenia papierosa.



Wyłożony trawą dół
do tradycyjnego
pieczenia mięsa.



Mięso przed...



... i po upieczeniu.



Przed
porcjowaniem
upieczone
mięso
pozbawiane jest
kości.





Najbliżsi krewni
zmarłego, oprócz na-
cierania ciała
świńskim tłuszczem,
otrzymują
do nadgryzienia
kawałek słoniny
i trzciny cukrowej.
Rytuał ten
ma uchronić
pozostałych
członków rodziny
przed śmiercią.





Czas płynie tu inaczej.
ludzie mają go dla siebie pod dostatkiem.





Stypę wielokrotnie przerywa
wspólny płacz.
gdy nadchodzą kolejni,
spóźnieni goście.





Kremacja.
Prawie natychmiast
po ułożeniu zmarłego
na płonącym już stosie
zapala się tłuszcz,
którym natarte jest
jego ciało.
Rytuał ten
ma nie tylko
zapewnić zmarłemu
szczęście w zaświatach,
ale również zdobyć
przychylność
jego ducha
dla żyjących krewnych.



Mimo rozpacz
po utracie bliskiej osoby.
Papusi wierzą, że duch zmarłego
pokona różne niebezpieczeństwa
czyhające na drodze w zaświaty
i że wkrótce tam dotrze.
Wtedy, razem z innymi przodkami,
będzie służył żywym
swoją wiedzą i opieką.



SPIS TREŚCI

Wstęp	6
Mit początku	20
Wierzenia wartości i zasady moralne	24
Dekalog Papuasów	30
Ośłona penisa – <i>koteka</i>	32
Świnia	36
Wamena	50
Lani	64
Kimyali	76
Kanibalizm	90
Korowajowie	100
Dani	134
Wódz	152
Rytualne wojny plemienne	160
Śmierć i pogrzeb	170



Grzegorz Torzecki

Absolwent Wydziału Operatorskiego PWSF. Tv i T w Łodzi. Współautor scenariusza i zdjęć do filmu fabularnego „Niedzielne igraszki” – reż. R. Gliński (Złoty Dukat i nagroda FIPRESCI w Mannheim '87). W dorobku operatorskim liczne filmy dokumentalne i oświatowe.

Indywidualne wystawy fotograficzne:

JAPONIA – ogrody i cmentarze
– wspólnie z Andrzejem Wajdą (rysunek): 1991

JAPONIA – kamień, woda, drzewo: 1993

TAJWAN – okno na Chiny: 1994

INDONEZJA – Podróże w inne światy: 1996

GAMANGAFUCHI – szkic do portretu: 1996

JAPONIA w fotografii: 1996

BIRMA, TAJLANDIA – w królestwach Ramy: 1997

IRIAN JAYA, LOMBOK, SUMBA: 1999

INDONEZJA – w bieli i w czerwieni: 1999

Pan Grzegorz Torzecki jest fotografem dość wyjątkowym. Jego świat to kraje azjatyckie z całą ich tajemnicą duchowego życia, tak odczuwalną dla tych, którzy podróżują w tamte strony i mają otwarte oczy. (...) Odnalezienie i utrwalenie tych wszystkich miejsc i obyczajów wymaga nie ładu mistrzostwa, a zwłaszcza odrobiny szczęścia, bez którego tego rodzaju tematy pozostają martwe. Patrząc na zdjęcia Torzeckiego, można śmiało powiedzieć, że oprócz skupienia i talentu sprzyja mu również szczęście.

Andrzej Wajda



Cena 75,00 zł

Nr 2845

"IRIAN JAYA – Warrior's Paradise Lost"
by Grzegorz Torzecki
(excerpts)

INTRODUCTION
(pp. 6-15)

Not far from Australia lies an island whose shape resembles an ancient dragon. It is New Guinea, the second largest island of the world after Greenland. Its Eastern part belongs to an independent state, Papua New Guinea. The Western part – Irian Jaya (from 2002 named Papua) – a Dutch colony since 17th century, was annexed in 1963 by Indonesia and shortly afterwards, in 1969, officially incorporated to that state as a result of a bogus referendum with barely one thousand votes from bewildered and intimidated local Papua population.

A tropical jungle covers 75% of the total 422 thousand km² of present Irian Jaya province. Hills cut through almost the middle of the land with Puncak Jaya the highest peak (4884 m; its height was earlier defined erroneously on maps as 5029 m) and a few others whose height exceeds 4700 m. If it were not for the crocodiles, venomous snakes and mosquitoes transferring the worst kind of malaria germ – *Plasmodium falciparum* – the land could be regarded as paradise.

In the impenetrable recesses of the jungle and in the valleys closed by mountains there live about two million Papuans, speaking what is estimated as roughly 250 languages. Until recently members of many tribes had considered themselves to be the only people on the Earth and had not been aware of their own neighbours. Some people speaking an unknown language have been seen descend the mountains, watch the places touched by civilization only to vanish in the mountains and never return. New tribes are still discovered. Quite recently, in 1944, the Kiri-Kiri and Fayu tribes were discovered.

Irian Jaya is one of the last places on Earth where we can meet people whose life seems to be closer to our notions of prehistoric times than anything approaching our definition of civilization. As a matter of fact, nobody really knows what goes on in the remote corners of the island. There are even regions with no topographical description to date. That well-nigh neolithic enclave has survived not only thanks to its hostile nature, but also due to its infamous inhabitants, usually described as cruel warriors, head hunters and cannibals.

There were two unsuccessful attempts to found a colony on the island's shore in the 18th century. To degree of difficulty that the first explorers had to face is most aptly expressed in the names of two rivers that the Dutch gave them in 1902: *Moordenaar* – The Murderer and *Doodslager* – The Slaughterer. Research explorations of the shores and the interior in the beginning of 20th century had more luck. The Baliem River valley, The Great Valley (60 x 15 km), was discovered in 1938. Its

inhabitants, the Dani tribe comprising about 50000 people then, for the first time saw not only a white man, but also iron tools.

The World War II stopped the process of discovering and civilizing Irian Jaya. Not until a U.S. aircraft crashed over the Great Valley in 1945 and three of the victims were saved in unusual circumstances did the place arouse interest again. The real invasion of modern civilization began in the fifties, coinciding with intensified activities of Christian missions. But it was the discovery of huge resources of gold, copper and natural gas that irrevocably changed the fate of the province, putting some tribes at the peril of extermination.

When Indonesia took over total control of the region, the Papuan peoples were subjected to one of the most repressive systems of colonial occupation in the twentieth century – the grossest silent genocide of our times, resulting in the death of about 300 thousand people.

An American company, Freeport Mining, has earned the worst reputation in this respect as lease holders of the gold and copper rich regions in the Erstberg and Grasberg mountains. In that land the size of Belgium whole mountains, the highest after the Andes and the Himalayas, are literally levelled. 200 thousand tons of waste is dumped in the rivers daily, destroying the environment. The inhabitants do not understand why they can no longer eat the sago palm flour that they have eaten for ages or drink water poisoned with sulphur and copper compounds. Therefore they continue to eat it and die.

Freeport Mining enjoys the support of the Indonesian army and police who do not care about the local population and ruthlessly administer group responsibility. Those villages which refuse to be relocated to the regions beyond the interest of the mining company are brutally pacified and then forced to move to the malaric wetlands. Those who still resist face a cruel death. Freeport's own forces and runways have been used in repressive actions and even the company buildings have served for custody and ruthless interrogations.

The 20th century presented the native inhabitants of Irian Jaya the reality that they find very hard to adapt to. The Indonesian government claims its right to the province; the mining and oil companies conquer it with helicopters and industrial products. Fighting for the Papua soul, Christian missionaries have often regarded the traditional Papuan culture as the Satan's work. Ritual wars endowing the tribal life with sense, have been banned. The old beliefs and values are eliminated, ridiculed and discouraged.

Traditional economic bonds have deteriorated: barter trade or sea shells as monetary units have vanished. The locals are being reduced to the passive observers of the rapidly changing world, with no role written for them. The Papuan experience civilization through machine guns, Christian missions and various kinds of material objects. One notable victim of this massive attack is the ancient culture of the Asmat tribe. People who have lived as in the prehistoric times must, virtually within the span of one generation, either absorb thousands of years of technological evolution or perish.

It is hard to predict how long the Papuan culture can survive. The luring mirages of the modern world interrupt the natural transmission of cultural heritage from generation to generation. The old lore and skills cease to be in demand; worse, they are also ridiculed.

Considering the fact that the average Papuan life span is roughly 40 years, we may be certain that with the speed the indigenous culture is vanishing, it will not survive few more generations. Especially that the Papuan do not have their Dalai Lama. And it does not appear as if anybody in the outside world really cared about saving their universe, witness the practices of the local bureaucracy, obstructing research and ethnographic documentation on the one hand, and intensified transmigration policies resulting in the Papuan native population becoming an irrelevant minority in their own country.

I have been there three times in 1998 (twice) and 1999 and despite my momentary vows that "never again", when the hardships passed there always loomed a vision of another expedition. Each awarded me with fascinating new places, each unveiled another secret about Irian Jaya. During my short visits I had a chance to encounter three mountainous tribes: Lani, Dani and Kimyali as well as the people most resistant to civilization, the inhabitants of the jungle swamps – the Korowai known to build their houses high in the trees.

Irian Jaya has an inexplicable power of enchanting and attracting all those who have had a chance to be there once. Many return or even settle there for good. It is the intensity and metaphysics of interaction with the Papuan that may bring about such fascination. Despite the cultural and linguistic barriers one can sense their uniqueness. Once you feel the strength and depth of the Papua look in your eyes, piercing you all the way through, you will never forget the experience.

What is the way to photograph the Papuan people? As with most so called primitive peoples, the main problem is the unavoidable static posing. A white man, especially equipped with a camera, immediately becomes a sensation in the whole village. It is impossible to watch the natives discreetly, as it is them who do the watching, standing at attention or following our steps all day long. The reason is not only their curiosity, but sheer calculation. Every shot must be paid for. Gazing at the white man, a Papuan is not only expecting to earn some money, but is also counting all shutter clicks. There is more freedom if you either stage something or pay in advance for the permission to shoot a ceremony, but even then there is no hope that the Papua would give up a chance to watch closely someone as odd as a white man.

Travelling is equally difficult. Not only because of the terrain and rough climate. Nearly half of the Irian Jaya province is closed to tourists either because of the activities of the guerrillas from the Papua Liberation Movement (OPM), who made their name by some spectacular abductions of foreigners, or because of violent disputes involving local population and the authorities. Travelling, even along the marked routes, requires a special permit which must be stamped each time at local police stations.

Reaching distant settlements in the mountains or in the jungle requires the use of expensive charter flights run by the church missions, where the notion of charter really applies to one's chance of joining a flight arranged and scheduled in accordance with the needs of a mission. Following are the flight priorities: first aid in accidents, then the church's needs, then the local population, and only then tourists, who the missionaries would prefer not to take at all, if it were not for the exorbitant ticket prices helping to keep the mission flights operative in the first place. Fuel shortage is another problem, and since it is the Indonesians who control the supplies, that is a simple way of controlling the missionaries themselves.

All that I know about Irian Jaya comes from my own observations and experience, my guides and friends. However, the communication flow would be rather intricate on many occasions, such as from the Korowai language to Dani, then into Indonesian and finally into broken English. I also learned a lot from my conversations with the missionaries, doctors and soldiers, and generally accessible sources, such as guide books and the internet.

During my numerous talks, especially with the guides from the Dani tribe, I had an impression that Karl Heider's spirit was hovering above them, as if that ethnographer investigating the Dani tribe customs had once and for all defined the canon of their own beliefs which they have been repeating to foreigners since then in a more or less systematised form. Or perhaps, according to one of the missionaries who had spent a long time on the island, our "knowledge" is reduced to what we would like to hear from the natives and what we are accustomed to. It may only be a tiny part of the truth which would remain veiled for us. Indeed, we may never know what part of the whole it could be.

The missionaries' accounts can differ radically depending on whether the informants are protestants or catholics. The former are particularly susceptible to represent the Papuan people and their customs as an embodiment of satan in the world.

Robert S. Wick's book "God's Invasion" is but an extreme example of such attitude. Particularly the first chapter entitled "Battle field" aptly illustrating the desire of one of the American churches to erect a monument commemorating their glory and martyrdom. At the opposite end are accounts that idealize the Papua world, which is especially difficult to verify when applied to those tribes which have achieved a higher level of civilization.

I believe that without very long or permanent residence in Irian Jaya it is not possible to understand what that world really looks like. My impressions are rather a collage of images and opinions that I had a chance to encounter. The Papuan world – univocal, simple in mutual relations, collective – has plenty of charm for me when confronted with our civilization creating people often alienated from their own environment.

THE MYTH OF ORIGIN (pp. 20-21)

Many Papua tribes share the myth of people's origin and the beginning of their life on the Earth, where the word "people" is used exclusively to denote members of the speaker's own tribe. The story has it that one day all people came out from a hole in the ear (or, in other variations of the myth, from a lake or a cave). The versions differ from tribe to tribe, but each claims that the place is located on their territory.

The Earth abounded in plants, animals and food. There was unity, harmony and peace. People lived as in paradise. There was one man among them who taught how to build houses, prepare food, cultivate the land. He could solve any problem and knew the answer to any question. He gained more and more authority, more than the local chieftains, and the people started fearing he would begin to use it against them, forcing his will upon them. Therefore they killed the man. And they did not bury him, but covered his body with leaves.

They felt helpless instantaneously. They would disperse in all directions and in the cool of the night their teeth would chatter so much that they could no longer understand one another. That was the origin of linguistic diversity.

There arose animosities, suspicions, ending harmony and peace. First murders began, and acts of revenge eventually led to familial and tribal wars. The Paradise ended.

Some time passed and people noticed that in the very place they left the body covered with leaves, there grew sweet potatoes, sugar cane and other savoury plants. It was then that they understood that their victim had not been a man like them. They uncovered the bones and divided them among all the clans so that every family could have a piece.

The piece of bone was later replaced by a green stone ye called *kaneke* – „the chief's heart" – and was worshipped as the highest deity symbolizing the primeval Paradise – the times of harmony, unity, peace and happiness.

Kaneke is then the symbol of bondage between men and their ancestors, above all with "the source of all sources." It is attributed to have the essential role in all areas of people's lives. It decides about their health, fertility, war victories, crops or rituals' progress.

Kaneke is hidden in the most sacred place in the men's house and is accessible to only a few. Most family members, especially women, have no access to it at all; they have never seen it and will never see it.

The mystical longing for their lost Paradise is the essence of the Papua spiritual life. The present may only be an imperfect model of the past, a collection of objects, symbols constantly recalling the ancestral heritage. The contemporary experience is a mere continuation of the ancestors' experience.

It might seem that there is overwhelming pessimism in such orientation to the past. But it is not the case. The Papua see it the other

way: man can return to paradise and bring back the times of universal harmony. The goal is not unattainable. All one must do is abide by the ancestral rules and ruthlessly remove any obstacles on the way to the mythical unity.

BELIEFS, VALUES AND MORAL PRINCIPLES (pp. 24-25)

The belief in ghosts, especially the ancestors' ghosts is the essence of the Papua outlook. Ghosts are regarded as living people playing an important role in the tribal life.

The ancestral ways determine every decision made by the descendants. A Papua does not live for himself. He lives together with his ancestors. They possess the power, skills and knowledge that every living human needs to have. Ghosts are indeed the "living dead" cleaned by death. They may be more unsatiated, more demanding and vengeful than in their life. At the same time their power may save lives, since they can spiritually kill the enemy before the real battle, where the physical killing would only follow as a "sheer formality".

The bond between the living and the dead is obvious and real for the Papua, hence the importance of maintaining good relations with ghosts. As they manifest their presence only through various events (illness, bad crops, war, but also health, wealth, victory), and few people can communicate with ghosts (especially at will), the living learn post factum, as it were, how they are related to them. It is always better to assume that ghosts are never fully satisfied, so it is beneficial to repeat continually those acts and rituals which please them.

The Papuas believe that a ghost moves after a man's death; therefore the objective of various ceremonies should be not only worship and homage but also control of their movements. The ideal here is expressed by the wish "stay where you belong", that is, far from homes, in a house specially built for ghosts, where after the body is cremated the ghost should stay together with those of other dead from the same village.

As with all ideals, this one is never fully realized. Ghosts visit the living to conclude some affairs unfinished in their life time or out of greed, or else in reaction to the neglect and insufficient care in magical ceremonies. For what else could possibly explain bad crops in one household, while the neighbour experiences the nature's generosity at the same time, or the death of only one of two people suffering from the same disease.

Hence the Papuas build special constructions whose purpose is either to halt the migrating ghosts and discouraging them from entering a house or village; or just the opposite – to attract the ghosts, like a lightning rod, and then dispatch them to a place where they can no longer harm the living. I was shown one such structure, which I certainly

would not have noticed myself. Behind the men's house, on four corners of a square plane there were four sticks in the ground, with a longer one in the middle. Proud as they were of their newly acquired christianity, they did not allow me to photograph the place.

The Papuans believe that their whole environment is endowed with life and soul: trees, lakes, rivers, stones and animals – except for insects and amphibians. Hence people are tied to the rest of nature by various relations and bonds, both positive and negative. Man should be sensitive to all sorts of messages and signs from the environment, as they only herald the coming events or confirm prior omens. This way everything that surrounds man is regarded as a demanding audience which commands respect and full attention. For the Papua, living in harmony with the whole world means "good living". It is possible to tell whether people live a good life by their conduct in accordance with the ancestors' tradition, but also by their relations with other people, friendships, strong sense of community, work, health, fertility, prestige and military success.

Relations with others is one of the fundamental values in the Papuan world. This is reflected in such greetings as "father", "mother", and even "you are in my heart" spoken also to strangers. The essence of a man's life, his relations with others, with the environment and his ancestors is not "living among", but "living together" with the others. Those who isolate themselves from others are regarded as "dead" in life, as they have lost the purpose to live. The notion of "living together" comprises not only a sense of community or collaboration, but also the ability to share both material goods and feelings with others. The Papuans believe that sharing all one has creates wealth which will survive the donor's death. One of the Papua mottos says: " Give others reasons to say you are good."

A clear example of how the Papua understand sharing grief or sadness after a close relative's death was the custom of cutting one's own fingers or parts of one's ear to cremate them together with the dead body. This way the dead would take with them parts of their relatives' body, which only reinforced a very strong bond between the living and the dead.

Collaboration and sharing is best realized at work, which is another highly regarded value among the Papuans. Everybody must work. Work together. That commandment is best illustrated by the saying: "Learn from the ants what can be achieved working together." Someone who does not work and is able to work does not deserve to participate in the distribution of the effects of the communal labour and is regarded as excluded from the community and as a perpetrator of one of the fundamental moral principles. For work, as well as ritual wars, is to bring the lost paradise back and build it on the ruins the old ideals.

THE PAPUANS COMMANDMENTS (pp. 30)

- * You shall listen to the ancestors' voice. He who violates the tradition or derides it must be removed from the community and may even be killed. This concerns particularly violating taboos of various kinds, such as sexual intercourse with a pregnant wife or within four years after childbirth. A man who commits the crime shall be persecuted by both his wife's and his own family.
- * You shall work – it is your duty. You shall create a garden – it's your special duty.
- * You shall not steal. If someone steals food from your garden or takes anything from your house in your absence without prior permission, you shall have the right to kill him.
- * You shall not commit adultery. If a man or a woman breaks this law, the victimized family has the right to kill the culprit.
- * Incest is punished by death. It is not only against the traditional, good life of the ancestors, but may be a reason of a military failure, since it deprives the culprit of the will to win. In general, sex with a woman is considered as depriving the man of his strength, good looks and weakening his response time.
- * If someone wants to kill you, you have the right and duty to kill him. You must stand up to him. As a man, you must know how to defend your family.
- * You shall not avoid any occasion of testing your strength and endurance.
- * You shall know magic and do all you may to show that your magic overpowers that of your opponent.
- * You shall be hospitable to men, women and children who pass through or rest in your village (which, naturally, applies only to those guests who have been granted permission to enter the village; unauthorized entry may have fatal consequences for the trespassers).
- * A child shall always try to please his parents and must obey them. The parents have the right to kill their disobedient child.
- * Parents shall look after their children. If they do not take proper care of their children, they may be punished or even killed by other tribe members.

As most moral codes, this one also has lost its edge, except perhaps for the "death for death" principle. The missionaries have also contributed to blunting the laws, replacing their clarity with ambiguity. It is now possible to buy oneself off many punishments, depending on the crime's context and the parties' temperament, but the code continues to function as the unquestionable point of reference, if only to determine the price of one's redemption, and there is no room for pity or pardon in the Christian sense of "love thy neighbour". Indeed, even the Indonesian law enforcement must respect the Papua code and apply lighter penalties where the offence can be justified as legitimate in the ancient common law.

However, nobody should draw easy conclusions that the Papuans set a low value on human life. In contrary, their clan's memory retains every single case of a violent death and history of it is passed on through generations.

HEADMAN (pp. 152-154)

Among numerous civilization shocks that Papuans experienced, a very acute one, apart from the ban on waging wars, was a completely different pattern of leadership. In addition, those who they had to comply with, were their occupants.

The Papuans' chieftain is not chosen by voting, he does not inherit the title nor does he give orders – he possesses no executive power. However, he has great, unquestionable authority and it rarely happens that his decisions are ignored. He uses his influence in an emergency. And when the problems are solved, he returns to the position of a common member of his tribe. He does not dwell in a better hut, nor does he wear any attire that could make him unique.

Multidimensionality of tribal life made it necessary to have numerous chiefs with different competences. The most important of them was the war chieftain. Obviously, he needed to have the history of many victories, many enemies who he had killed. Such a man could be trusted. But a man known for his lust for blood, who would make a show of his brutality, was to be avoided.

In order to become influential and possess real power, the chief should:

- be able to share his property;
- be always available to serve and help anyone in need (his house should be always open);
- make right decisions even when in danger;
- be a good, charismatic speaker and have the courage to confront his opponents at rallies and win debates there;
- be self-confident but modest and never raising his head above others;

- be honest and sincere in every situation;
- be knowledgeable and willing to give advice on interpersonal relationships and environment surrounding them;
- have the gift of healing, fortune-telling and being a psychic medium in spiritual contact with the ancestors.

The headman can be changed without any formal elections, official declarations, without any ceremony introducing his successor. It is just that people start noticing that someone else is more intelligent, gifted, has greater achievements and as such automatically gains their recognition and acceptance – more and more people listen to him.

RITUAL TRIBAL WARS (pp. 160-165)

From the moment their mythical teacher-benefactor was murdered, chaos came to the world of Papuans and they divided into hostile parties. Every neighbour, not to mention a foreign tribe speaking an incomprehensible language, posed a threat, which in itself disturbed the peace and harmony. That is why, to restore the primal harmony and lead a good life of their ancestors (which is an ideal), it is necessary to remove this threat and it means waging war, which not only lets keep the enemies away but also enhances the status of the tribe – both in their own and in the other people's eyes. Thus, it does not matter that we find material reasons for their wars trivial: a theft of a pig or a woman. What is important is to persevere in fighting!

Wars have always given sense to the life of Papuans, embracing all its aspects. From an early age boys are prepared for the role of professional warriors. Even today, when under the pressure of first Dutch and then Indonesian authorities, ritual, very spectacular wars have been abandoned, the children are still trained to fight through a number of team games and manoeuvres. What proves their considerable resemblance to real fights is serious injuries (an eyeball crashed, deformed, withered limb) or even the death of some of the participants. Skills acquired in such a way can be used not only when hunting or during the elections of future leaders – they are also helpful in real, bloody raids, carried out on the sly.

The last bigger war took place in 1988. Wars between tribes or clans are constantly underway. However, they do not involve confederations of numerous clans or tribes with hundreds of warriors. They are more like settling accounts between neighbours, which takes the form of little clashes, ambushes or night forays. It is often random people working in the field or women and children who become victims because the meaning of these scuffles lies in balancing reciprocal losses, in line with the rule "life for life". Except for axes, they use 4-meter wooden spears and bows and arrows with long (45 cm) arrowheads, carved fancifully in numerous

barbs. It is also a psychological weapon – it is to frighten the opponent with the vision of painful death.

Death at the hands of the enemy is an event threatening the whole community. It causes such great anxiety among the spirits of the deceased that they will not rest until they receive the due satisfaction from the living relatives of the killed one. For a Papuan there is no worse thing than to ignore the demands of unrevenged spirits of his relatives. They will keep tormenting the living with various misfortunes till the revenge is complete. The desire to win the favour of spirits, who control different aspects of life, and continuous dialogue with them constitute the core of tribal life.

So Papuans fight not only because they want to – it is their dream from a child. They fight because it is necessary – because it is what the order of their world calls for. It is not about annexing somebody's land, showing one's own dominance or enhancing differences in the way of perceiving politics and religion, or rather faith. It is not even about destroying the enemy (what some Indian tribes aimed at). It is about restoring balance and settling the accounts of losses. And here we get to the greatest paradox of Papuans' beliefs. A strong emotional bond with the ancestors, dreams of restoring paradise, peace and harmony, all create and maintain incessant tensions and conflicts.